półświatek

St. A. Wotowski

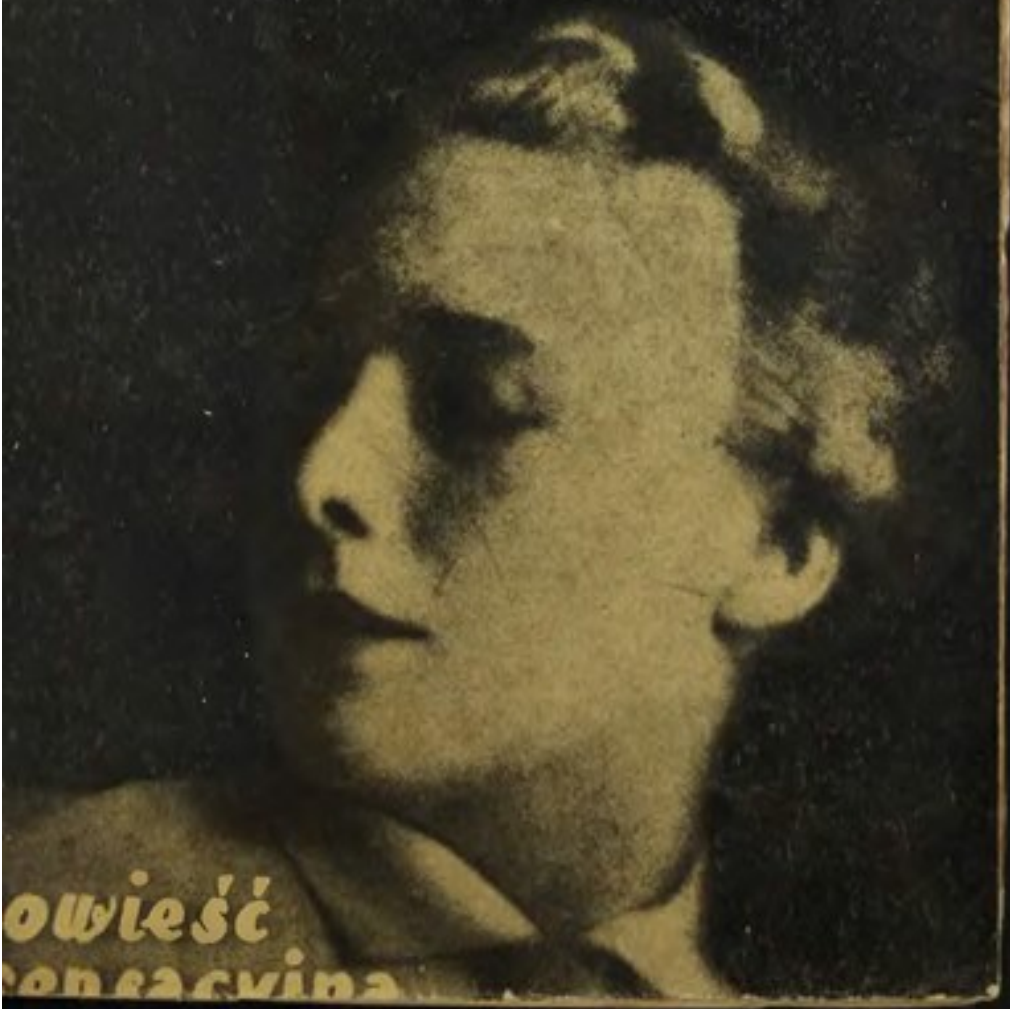

owieść

Półświatek. Powieść sensacyjna na tle zakulisowych stosunków Warszawy

Stanisław Antoni Wotowski

Wydawnictwo „Najciekawsze Powieści”, Warszawa, 1931

Pobrano z Wikiźródeł dnia 24 sierpnia 2025

ST. A WOTOWSKI

Półświatek

POWIEŚĆ SENSACYJNA
NA TLE ZAKULISOWYCH
STOSUNKÓW WARSZAWY

WARSZAWA
Wydawnictwo: „Najciekawsze Powieści“

SPIS TREŚCI[1]:

Rozdział I. Jak się zostaje kokotą? 5
Rozdział II. Zagadkowa panna 33
Rozdział III. 57
Rozdział IV. Bagno stolicy 72
Rozdział V. Decydująca rozmowa 91
Rozdział VI. Karjera Lenki 105
Rozdział VII. Matka i córka 118
Rozdział VIII. Lenka staje się dumna... .. 146

Druk. Zakł. Druk. W. Piekarniaka.

1. ↑ Spis treści dodany został przez zespół Wikiźródeł.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#)** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: [Stanisław Antoni Wotowski](#).*

ROZDZIAŁ I.

Jak się zostaje kokotą?

Pan Ignacy Okoński miał lat pięćdziesiąt, był statecznym urzędnikiem i nie lubił wszczynać dysput, szczególniej pieniężnych, przy obiedzie z żoną.

To też, choć urocza pani Lenka wcale niedwuznacznie napomykała o wydatkach, udawał głuchego. Dopiero, gdy przełknął ostatni kąsek, a służąca postawiła przed nim szklankę herbaty, powoli, z namaszczeniem zapalił papierosa i dość opryskliwie mruknął:

— O co ci właściwie chodzi?

— Zrozum! — jęła nieśmiało tłumaczyć — Mam różne wydatki... Od szeregu miesięcy nie sprawiłam sobie nic...

— Ile potrzeba? — rzucił krótko.

— Z pareset złotych! — wyjąkała.

— Pareset złotych? No... no...

Wykrzyknik zabrzmiał ironicznie. Pani Lenka nie śmiąc nalegać umilkła.

Och, bo w gruncie rzeczy boi się porządnie tego, zasuszonego człowieka, który nazywa się jej mężem. Dzieli ich taka różnica wieku, że raczej wygląda na jej ojca. Są już blisko dwa lata po ślubie, a wciąż doń przywyknąć nie może. Zawsze zimny, nieprzystępny, zmienia się tylko w niektórych chwilach, lecz te są właśnie dla Lenki

najwstrętniejsze. Szaleństwo popełniła, ona panna biedna, ulegając namowom matki i wychodząc zamąż za urzędnika z „dobrą pensją“. Cóż jej z tego przyszło? Skąpy, do obrzydliwości skąpy, a swe „dobrodziejstwa“ wytyka na każdym kroku. Nigdy o nic nie odważyła się dotychczas go prosić i gdyby nie straszliwa sytuacja, w jakiej się znalazła, dziś również nie rozpoczęłaby niemiłej rozmowy... Zresztą trud daremny... Czuje, że zaraz padną słowa, które smagają, niczem uderzenia biczem.

Nie omyliła się. Pan Ignacy zaciągnąwszy się głęboko dymem, powtórzył zjadliwie:

— No... no... pareset złotych...

— Tak — bąknęła cicho.

— Sądzisz, że jestem miljonerem?

— Sądziłam jedynie, że i mnie czasami coś się należy...

— Hm... Oczywiście... Przy posagu, jaki wniosłaś...

— To podłe! — mało nie krzyknęła głośno, lecz wnet się pohamowała.

Z niewypowiedzianem zadowoleniem rzuciłaby mu na głowę wazon z kwiatami, stojący na stole. Lecz w obecnej chwili wszczynać awanturę, kiedy tamci grożą, kiedy on wyłącznie może uratować, kiedy wszystko zależy od jego dobrej woli? A nuż się odezwie ten przeklęty telefon i pozna prawdę, pozna czemu tak o te głupie pareset złotych nalega! Za wszelką cenę należy politykować... Jeśli teraz natrafiła na zły moment, może wieczorem potrafi go udobruchać, wyciągnie pieniądze udaną czułością, pieszczotą... Lenka wie, że jest piękna i jest świadoma potęgi swych dwudziestu czterech lat. Zbyt rzadko używa

tego czaru — za wielkie obrzydzenie budzi w niej stary mąż.

Więc przestanie nalegać... A tamtych, jak żądali, odwiedzi. Postara się uzyskać nowy termin... choć na parę dni zwłokę.

Pan Ignacy powstał z miejsca. I on uważał, iż rozmowa została skończona.

— Muszę odejść! — oświadczył — Mam poobiedzie w biurze zajęcie! Zapewne, powrócę dopiero wieczorem...

— Będę czekała z kolacją! — rzekła uprzejmie i zbliżywszy się doń, lekko musnęła wargami czoło małżonka, jako wstęp zapewnie do późniejszych miłosnych ataków.

Lecz pan Ignacy, aczkolwiek odpowiedział na tę pieszczotę głośnem cmoknięciem, zaraz zaznaczył, iż w niczem to nie zmieni jego budżetowych postanowień.

— Niestety — wycedził — nie będę w stanie, w żadnym wypadku spełnić twej prośby... Czasy są ciężkie, wydatków miałem sporo... Daję co mogę, a na kaprysy mnie nie stać...

— Kiedy... — zaczęła.

— Pozatem, jesteś tak wyelegantowana, że dalsze wyrzucanie pieniędzy na fatałaszki nie miałoby sensu... I prosiłbym cię nawet bardzo Lenko, żebyś powtórnie nie powracała do tego tematu... Do widzenia...

— Stare skąpidło... — mruknęła prawie głośno, podczas, gdy mąż nakładał paltot i systematycznie wiązał szalik na szyji w przedpokoju.

Wreszcie rozległo się trzasnięcie drzwi. Pozostała sama.

— Skąpiec przebrzydły! — głośno teraz dała folgę swej

złości.

Czy zmiękczy go? Po ostatniem oświadczeniu, wątpliwe! Ach, czemuż dobrowolnie wpakowała się w podobne położenie. W oczach zakręciły się łzy.

Pani Lenka parę razy przeszła się nerwowo po jadalni. Później przystanęła przed lustrem. Zwierciadło odbiło sylwetkę naprawdę ładnej kobiety. Wysmukłej, złocistej blondynki o nieco rozmarzonym wzroku. Lecz całą postać cechował, jakby brak energji, apatja i lenistwo. Tak, leniwą, trochę apatyczną była pani Lenka i tu należało doszukiwać się przyczyny czemu w ten, a nie w inny sposób potoczyły się jej losy. Pragnęła, aby życie wszystko niosło jej w darze, nie dając najmniejszego wysiłku wzamian. Czyż inaczej wyszłaby zamąż za człowieka, starego i całkowicie obojętnego, li tylko, że miał czteropokojowe mieszkanie i pensję ponad tysiąc złotych? Czyż nie przestraszyła się wróżb matki — wdowy, utrzymującej się z nędznej emeryturki i z skromnych zapomóg syna, który będąc na ostatnim semestrze prawa, lekcjami i dodatkową pracą u adwokata sam nie wiele zarabiał — że dziś najładniejsze panny bez posagu po urzędach za marny grosz więdną, a później za byle kogo wychodzą z rozpaczy? Czyż uzyskawszy własny dom, potrafiła zająć się gospodarstwem, lub zdobyć szacunek męża? Toć mąż, dzięki jej nieradności traktował ją, jak lalkę, lub małe dziecko... Czyż, wreszcie, gdyby nie bezgraniczna lekkomyślność, naraziłaby się na przykrości, jakie dziś tak dręczą? Lecz pani Lenka nie czuła tego wszystkiego!

Pretensje miała raczej do otoczenia, niźli do samej

siebie. Do męża przedewszystkiem.

— Gdybym nawet pragnęła, to zdradzić nie mogę starego durnia! — stwierdzała niekiedy z pasją. — Niema z kim!

Stała tedy pani Lenka przed lustrem, przeżuwając niewesołe myśli, kiedy nagle zabrzmiał telefoniczny dzwonek. Oczekiwała na ten sygnał, obawiając się tylko, by nie nastąpił wcześniej, kiedy mąż będzie w domu. Pochwyciła za słuchawkę.

— Mówi firma „Helwira“ — rozległ się niewieści głos — czy to pani Okońska?

— Jestem!

— Jakże szanowna pani zadecydowała?

— Będę zaraz u państwa, to wszystko omówimy!

— Pragnie pani zapłacić?

— Hm... nie... tak... Sama wytłomaczę...

— Więc oczekujemy! Lecz uprzedzam, że szefowa nie zgodzi się na żadne ustępstwa... — głos zabrzmiał uprzejmie, ale stanowczo.

— Może ja osobiście...

Chciała jeszcze coś mówić. Próżno — połączenie zostało przerwane.

Pani Lence wystąpiły krople potu na czoło. Na męża daremnie liczyć, tamci występują coraz ostrzej. Boże... Jaka rada? Pozostało zaledwie dwa dni czasu...

Niema chwili do stracenia. Pospiesznie wdziała wykwintny, obszyty skunksami jedwabny płaszczyk, wsunęła na głowę mały kapelusik i wybiegła na ulicę.

Październikowe słońce zalewało ostatniemi, ciepłemi

promieniami chodniki, nadając otoczeniu piętno radości i wesela. Lecz nie wiele obchodziło to panią Lenkę. Nie wiele obchodziły ją i spojrzenia przechodniów, z których nie jeden odwracał głowę za jej wysmukłą i elegancką sylwetką...

Ach, ta elegancja...

Tu był początek zguby! Miał rację pan Ignacy, jeśli pogardliwie się wyrażał o sprawianiu nowych fatałaszków i patrząc na swą żonę, uśmiechał się, gdy twierdziła, że chodzi obdarta. Lecz czyż wiedział on, z jakiego źródła pochodzą te stroje?

Bo pani Lenka, po swojemu, potrafiła znaleźć radę na skąpstwo męża. Radę, niestety w skutkach opłakaną. Skoro małżonek, wnet po ślubie począł coraz bardziej zaciskać worka, folgując przyrodzonemu sknerstwu, jęła brać na kredyt. Dobrzy ludzie ułatwili jej to zadanie. Niewytłomaczonym zbiegiem okoliczności zjawiły się różne kupcowe, proponując ta jedwab, ta aksamit, ta bieliznę. Niektóre swą uprzejmość posuwały tak daleko, że prowadziły panią Lenkę do zaprzyjaźnionych sklepów i pozwalały tam wybierać, co dusza zapragnie. Wzamian żądano tak niewiele. Wekslu. I pani Lenka podpisywała weksle, nie wiedząc dobrze, co ten przeklęty papier znaczy. Stawała się zato coraz szykowniejsza, a mąż w zaślepieniu prawdziwego skąpca, nie zwracał na stroje pani uwagi, rad, że ta go o pieniądze nie prosi. Trwał sporo czasu ten błogosławiony stan, dopóki nie nadszedł termin płacenia rewersów. A wtedy stała się rzecz jeszcze dziwniejsza. Wszystkie, bez wyjątku weksle znalazły się w posiadaniu

firmy „Helwira“ — który sam siebie na blankietach określał, jako salon mód. Może kupcowe były jej agentkami? „Helwira“ z początku wystąpiła bardzo grzecznie. Gdy pani Lenka przerażona ogólną sumą długu, wynoszącą tysiąc pareset złotych, oświadczyła, że zapłacić nie może, zjawiła się do niej, oczywiście pod nieobecność męża, przedstawicielka firmy, proponując sprawę nader prostą. Pani Lena wystawi nowe weksle z terminem trzymiesięcznym, oczywiście na sumę wyższą no i... z żyrem męża. A kiedy pani Lena, dzięki lekkomyślności i chęci za wszelką cenę odwleczenia awantury zgodziła się na ten warunek — przedstawicielka „Helwiry“ chętnie nazajutrz przyjęła nowe zobowiązanie, opiewające na blisko dwa tysiące i podpisane dwoma nazwiskami. Urzędniczki nie raziło nawet, że podpis „Ignacy Okoński“ był całkowicie podobny do podpisu pani Leny.

Lecz trzy miesiące upłynęło. „Helwira“ obecnie całkiem zmieniła ton. Albo pani Lena zapłaci, albo weksle zostaną zaniesione do męża.

Straszne! Co robić? Sfałszowany podpis... Gotów, jako oszustkę odwieźć do matki, kto wie, dopuści do sprawy sądowej... Dziś pani Lena czyniła ostatnią próbę. Mąż dwóch tysięcy nigdyby nie dał. Lecz sądziła, że wydostawszy odeń pareset złotych, jakoś „Helwirę“ na pewien czas zaspokoi... Tymczasem... Czuła, że jeśli uda nawet najgorętszą miłość — pan Ignacy pozostanie niewzruszony.

Pozostawała ostatnia deska ratunku. Osobista rozmowa. O ile właścicielka „Helwiry“ zgodzi się ją przyjąć, może

ulituje się nad nią... Cóż jej przyjdzie z głośnego skandalu...

Trawiona podobnemi myślami, biegła pani Lena ze Złotej, gdzie zamieszkiwała, w kierunku ulicy Koszykowej. Tam miała swą siedzibę groźna „Helwira“.

Może i rychło nieszczęsna, lekkomyślna niewiasta znalazłaby się u celu, gdyby nie niespodziewana przeszkoda.

Nagle ktoś z tyłu ją zawołał po imieniu.

— Jak się masz, Lenko!

Drgnąwszy, odwróciła się szybko. Przed nią stał brat — Fred Korski — wysoki, dwudziestoparoletni chłopak. Był uderzająco podobny do siostry i jak siostra zgrabny i ładny. Lecz miast pewnej bezduszności i apatji, która cechowała Lenkę, energja złączona z prawością przebijały się w jego rysach. Widać było, że jest to chłopak, który idzie przez życie sam i przed byle jaką przeszkodą nie ustąpi.

— Jak się masz, Lenko! — powtórzył. — Dokąd tak pędzisz?

— Ach, to ty Fredzie! Idę za interesem...

— Do „Helw...“ — mało nie wyrwało się jej, lecz wnet się poprawiła. — Do „Helosu“... Jest taka perfumerja... na... Nowogrodzkiej...

Fred zaczął się śmiać,

— Do „Helosu“! — powtórzył. — Na Nowogrodzką! Znakomicie! Zawsze jesteś roztrzepana, siostrzyczko i w pierwszej chwili, wymieniłaś nazwę, żem o mało się nie przewrócił!

— Cóż takiego?

— Zrozumiałem „Helwira“! Ale sądzę, tam nie chadza

moja siostrzyczka!

Policzki Leny oblał pąs.

— Jakaż to firma? — stłumiła nerwowe drżenie.

— Jest taka jedna na Koszykowej — mówił. — Pracuje się po kancelarjach adwokackich, to się słyszy to i owo... Otóż opowiadają o tej „Helwirze“, że ma tam się znajdować świetnie ukryty dom schadzek.

— Dom schadzek?

— Czemuż się tak przejmujesz, Lenko! Dom schadzek dla bardzo bogatych ludzi i nie każdy ma do niego dostęp... Lecz nie będę dalej gorszył mojej cnotliwej siostrzyczki.

— Okropne.

— Powiadasz... okropne! Ach, ty święta niewinności! Ale przejdźmy na inny temat... Co porabiasz, Lenko? Dawno cię nie widziałem.

— At... nic... — bąknęła, zmieszana posłyszaną wiadomością, która w nią niespodzianie uderzyła niczem grom — Wszystko, jak zwykle...

— Czyli twój pan i władca marudzi, a ty to znosisz w pokorze ducha! Pewnie znów ci dokuczył? — tłomaczył po swojemu jej niewyraźną minę.

— Trochę...

— Domyśliłem się... Dziwię się naprawdę, że możesz wytrzymać z tym starym prykiem! Na twojem miejscu rzuciłbym go dawno a wziął się do jakiej roboty...

— Hm... no... tak...

— Widzę, trudno dziś się z tobą dogadać... Ponure myśli siostrzyczkę trapią! — zażartował — Więc, powiadasz, idziesz na Nowogrodzką?... Niestety, nie będę mógł

towarzyszyć.

— Śpieszysz w przeciwną stronę? — wymówiła prawie z radością.

Fred wesoło przymrugnął oko.

— Randka, szanowna Lenko... Maleńka randeczka. Rozumiesz... Z cudną kobietą... a raczej uroczą młodą panienką... Zakochałem się, jak kot w marcu...

— Winszuję...

— Już piąta! Pożegnam cię, bo obawiam się spóźnić... Jutro, pojutrze wpadnę, to szczegóły opowiem... Może, jako niewiasta mi doradzisz... Bo moja flama jest strasznie tajemnicza, jest to chodzący sfinks....

— No... no...

— Dowidzenia, Lenko...

Szybko ucałował jej rączkę i popędził w przeciwnym kierunku.

Odetchnęła z ulgą, iż nie chciał jej towarzyszyć. Jednocześnie popatrzyła w ślad za bratem z pewnem rozrzewnieniem. Ach, ten Fred! W rzeczy samej kochała go bardzo i zazdrościła mu czasami. Żeby tak mieć jego stanowczy, energiczny charakter — napewno nie spadłoby tyle przykrości. Brała ją nawet w czasie rozmowy ochota wyznać wszystko, prosić o pomoc, o radę, lecz nieśmiałość i fałszywy wstyd położyły ostatecznie pieczęć na usta. Tembardziej, gdy kategorycznie oświadczył, że firma „Helwira“ na Koszykowej nie jest niczem innem, niźli świetnie zamaskowanym domem schadzek.

Dom schadzek!

W umyśle Lenki, bardzo dalekiej od wszelkich

życiowych spraw i życiowego brudu, dom schadzek łączył się z pojęciem gniazda rozpusty w którem wymalowane i cyniczne dziewczyny sprzedawały za tani pieniądz swe wdzięki niewybrednym mężczyznom. Łączył się z wyobrażeniem na pół pijanej ulicznicy natrętnie w swe sieci wciągającej przechodnia. To też ogarnęło ją nie tylko przerażenie, ale i zdumienie wielkie. Jeśli firma „Helwira“ stanowi „zakład“ tego typu, o jakim brat wspominał, to czemuż skupuje weksle, czemu wdaję się dodatkowo w lichwiarskie interesy. Cóż to ma znaczyć?

Na sekundę przystanęła w niepewności.

Pójść tam, czy nie iść? Okropne, jeśli tam się znajdzie i zobaczy „to wszystko“! Lecz, jeśli nie pójdzie a „Helwira“ zechce wykorzystać przewagę, którą posiada, stanie się rzecz po stokroć gorsza. Cofać się było późno. A może mylił się brat i udzielił fałszywej informacji?

Smagana wstydem, mając wrażenie, że każdy przechodzień odgaduje z jej twarzy dokąd podąża, szybko biegła ku Koszykowej.

Koszykowa...

Ot już numer trzydziesty, za niem jeszcze jeden dom i jeszcze...

Wpadła do bramy.

Kamienica jest nowoczesna, wytworna. Niczem nie przypomina obdrapanych i niechlujnych domostw, w jakich, wedle mniemania Lenki, powinnyby się mieścić jaskinie rozpusty. Tuż przy wejściowych drzwiach maleńka mosiężna tabliczka o wyrytym na niej napisem „Maison de modes Helwira“.

Więc tu... Więc jest to naprawdę salon mód?

— Pani kogo uważa?

Lenka wzdrygnęła się przerażona, jakby zabrzmiał nad nią głos anioła na sądzie ostatecznym. Powodu do przestrachu jednak niema. Dozorca uprzejmie otwiera drzwi kluczem.

— Ja... ja... do salonu mód...

— Acha... Wielmożna pani do „Helwiru“! Pierwsze piętro... na prawo...

— Dziękuję! — szepnęła, czerwieniąc się, bo cerber domowy spoglądał na nią dziwnym wzrokiem.

Czemu spoglądał tak dziwnie? Czyżby ją przyjął za jedną z „takich“? Niemożebne! Toć Lenka nie przypomina ulicznicy.

Szerokie marmurowe schody, wysłane dywanem. Pierwsze piętro. Znów tabliczka i napis: „Helwira“. Lenka, nie namyślając się, naciska nerwowo dzwonek.

Rychło słychać zgrzyt łańcucha i drzwi uchylają się powoli, ostrożnie. Nazbyt ostrożnie, jak przystało na ogólnie dostępny, salon mód. W szparze widać główkę dziewczyny, ni to służącej, ni to modystki.

— Czy zastałam szefową firmy „Helwira“? — nieśmiało zapytała Lenka.

— Pani w jakiej sprawie? — oczy z za drzwi świdrują podejrzliwie, badawczo.

— Osobistej... weksle...

— Acha... A nazwisko?

— Okońska...

Wzrok podejrzliwy zmienia się na uprzejmy uśmiech.

Ostatecznie łańcuch spada z drzwi i Lenka znajduje się wewnątrz mieszkania. Subretka, czy też pracownica firmy oświadcza obecnie grzecznie:

— Pani Okońska! Wiem... Szefowa oczekuje na panią... Zechce pani wejść do saloniku... Zaraz poproszę szefową...

Lenka rozejrzała się ciekawie po saloniku, do którego ją wprowadzono.

Nie, stanowczo musiał mylić się Fred. Był to typowy pokój przyjęć wytwornego domu mód, urządzony bogato i wykwintnie. Pośrodku stał duży stół, zarzucony szeregiem żurnali, dokoła kryte jedwabiem złocone krzesełka. Pod ścianami takież kanapki a na ścianach pierwszorzędne paryskie karykatury i fotografje kobiece, zapewne artystek, z podpisami. W głębi wielka, oszklona szafa, z której wyzierał barwny rząd sukienek.

— Pomylił się... To naprawdę pracownia...

Właśnie chciała podejść Lenka do szafy, aby bliżej obejrzeć porozwieszane tam cuda, gdy za nią rozległ się melodyjny głos.

— Witam panią...

Obejrzała się szybko, spostrzegając na środku saloniku wysoką, nieco już starszą dość tęgą damę. Zapewne szefowa „Helwiry“ a puszysty, perski dywan stłumił, odgłos kroków. Słowa nieznajomej potwierdziły przypuszczenia.

— Jestem Elwira Helmanowa, — rzekła, uprzejmie, wyciągając na powitanie rękę. — Pani Okońska? Prawda? Bardzo mi miło... Zechce pani zająć miejsce...

Usiadłszy na złoconem krzesełku, naprzeciw właścicielki firmy, Lenka wpiła się w nią wzrokiem.

Pani Elwira Helmanowa! Stąd zapewne w skróceniu od jej imienia i nazwiska, salon otrzymał miano „Helwiry“. Nic w postaci szefowej nie dawało się spostrzec podejrzanego lub dwuznacznego. Przeciwnie tchnęła wytworną godnością. Była to brunetka, blisko pięćdziesięcioletnia, która zachowała jeszcze ślady dawnej urody, ubrana skromnie, lecz wykwintnie. Pełne kształty obciskała czarna jedwabna suknia, z pod której wyzierały zgrabne nogi, w jedwabnych pończoszkach i najmodniejszych pantoflach. Na trochę grubych palcach połyskiwało parę brylantowych kosztownych pierścieni. Tak wygląda właścicielka domu mód, której się dobrze powodzi, dorobiła się w swym fachu majątku i nie potrzebuje się uganiać za względami klijentek. Lecz pocóż, w takim razie, pani Helmanowa zajmowała się skupowaniem wekslów?

Rychło i na to zapytanie biedna Lenka miała otrzymać odpowiedź.

— Więc pani w sprawie swoich zobowiązań? — rzekła szefowa, wyciągając w jej stronę srebrną, pokrytą różnorodnemi, monogramami małą, płaską papierośnicę.

— Może pani zapali?

— Nie palę nigdy... — odparła weselej, ośmielona grzecznym wstępem.

— Szkoda!... Papieros ułatwia rozmowę... Ale powracajmy do tematu... Spodziewam się, że przyniosła pani pieniądze?

— Niestety... — bąknęła Lenka.

— Nie? — twarz Helmanowej, dotychczas uśmiechnięta

— przesłoniła chmura niezadowolenia. — Cóż będzie?

— Pani szefowo! — jęła prosić Lenka — Widzę, że jest pani elegancką i miłą kobietą... Niechże mnie pani nie zgubi, niechże się zgodzi na dalszą zwłokę... W przyszłości na pewno zapłacę... Teraz musi pani zaczekać....

— Niemożebne!... — energicznie drgnął „dames“ w ubrylantowanych palcach właścicielki „Helwiry“.

— Dlaczego niemożebne?

— Z różnych względów nie mogę czekać ani chwili dłużej!

— Pani zamierza? — lęk zdławił gardło Lenki.

— Jeśli dziś nie otrzymam pieniędzy, za dwa dni upływa termin wekslów, jutro nasza firma zwróci się do pani męża, który również je podpisał, uprzedzając go o płatności.

— Boże! — zawołała Lenka.

— Przecież pani małżonek jest chyba na to przygotowany a, o ile wiem, zajmuje niezłą posadę...

— Nie... nie... — zawołała zmienionym głosem — tylko nie to... tylko nie mąż...

— Czemu? — Helmanowa bawiła się swą ofiarą, niczem kot myszą.

— Bo... bo... — jąkała, swym wyraźnym lękiem zdradzając się coraz bardziej. — Nie chcę, żeby on... On taki straszny... Życie mi zamieni w piekło... Pani szefowo, błagam, proszę, niech się pani ulituje nademną. Zgodzę się na wszystko... Na każde wyjście... Toć pani posiada serce...

Helmanowa głęboko zaciągnęła się dymem, poczem rzekła, po namyśle.

— Hm... Istotnie posiadam serce i dla tego pragnę

przyjść pani z pomocą... Aczkolwiek nie pojmuję obawy przed mężem, który przecież żyrował zobowiązania... Skoro jednak pani pragnie innego wyjścia, mogłabym je znaleźć, tylko...

— Z góry przyjmuję wszelkie warunki! — westchnienie ulgi wydarło się z piersi Lenki.

Właścicielka „Helwiry“ znów zastanawiała się chwilę, jakby dobierając słowa.

— Zaraz... proszę o cierpliwość! — oświadczyła. — Jeszcze pani nie wie jak wygląda ten ratunek....

— Prolongata?

— Wiele pań — mówiła dalej nie dając wprost na zapytanie odpowiedzi — powierzało mi prowadzenie swoich interesów i źle na tem nie wyszło... Zwykle, gdy która pani znalazła się w podobnych tarapatach, wynajdywałam jej bogatego przyjaciela, czasami przyjaciół i rychło długi zostawały zapłacone...

— Co?... co?... — niewyraźnym przeczuciem drgnęło serce biednej ofiary.

— W ten sposób postawiłam na nogi hrabinę Melsztyńską... Wie pani, ta co się rozbija takiemi pięknemi zaprzęgami po Warszawie i posiada stajnię wyścigową... Dalej baronową Della Paux, która jest wyrocznią w stolicy mody i szyku... Również dyrektorową Stalińską... Miała tak skąpego męża, że po uszy grzęzła w długach... Po paromiesięcznej ze mną przyjaźni, sama, bez jego wiedzy, kupiła wspaniałe brylanty... Innych dam z wielkiego świata i artystek to nie wyliczam...

— Pocóż pani mi to wszystko powtarza? — zduszonym

głosem zapytała Lenka.

Znów Helmanowa puściła mimo uszu zapytanie.

— Ileż kobiet obecnie się marnuje przez lekkomyślność, lub zbyteczne skrupuły... Ileż kobiet się puszcza... pardon, chciałam powiedzieć, obdarza swemi łaskami mężczyzn za głupią kolację, drobny prezent, lub co gorsza z... miłości... Miłości i wszelkich erotycznych uniesień przedewszystkiem wystrzegać się należy... Te wszystkie panie, które mi zaufały a któremi pokierowałam, za chwilę przelotnych „ustępstw“, w moim „salonie“, otrzymywały sumy znaczne, pozwalające im całkowicie uniezależnić się od domowego tyrana i zaspokoić swoje kaprysy... Czyż inaczej żony, mało zarabiających mężów mogłyby się tak stroić, jak się stroją w Warszawie i tak się bawić? Czasem nawet, dzięki znajomościom zawartym u mnie, powstają dłuższe związki... Taki hrabia Koniecpolski poznał miejską pannę Mary, mocno trywialną osobę, która przedtem zachowywała się w skandaliczny sposób. Kokota, prawie ulicznica. Przyjmowałam ją przez litość... I co pani powie? Żyje z nią obecnie, kupił wspaniałe mieszkanie i auto... Ale on ma już taki gust, że musi posiadać kochankę, któraby mu wymyślała ordynarnie a czasem nawet rzuciła w głowę kieliszkiem. Na psy schodzi nasza arystokracja...

— Więc pani mi proponuje?... — przerwała z oburzeniem te wywody Lenka, pojmując obecnie czemu brat nazwał firmę „Helwira“ domem schadzek — Pani proponuje...

— To samo uczynić, co czyniły tamte panie — odrzekła Helmanowa spokojnie.

— Jak pani śmie?

— Szuka pani wyjścia, oto jedyne wyjście! Innego się nie znajdzie!

Lenka porwała się ze swego miejsca,

— Ależ to hańba!

Wykrzyknik nie uczynił na Helmanowej żadnego wrażenia. Wzruszyła ramionami.

Tymczasem Lenka oburzała się coraz bardziej.

— Pani zapomina... Jestem przyzwoitą kobietą...

Coś na kształt wewnętrznego śmiechu, wstrząsnęło obfitym biustem szefowej, choć twarz pozostała nieruchoma. Każda z niewiast, która „przechodziła“ u niej podobną przeprawę, nie omieszkiwała podkreślać, iż jest przyzwoitą kobietą. A później... Później prosiły się same, skamlały niemal o złotodajne „okazje“. Jako znakomita znawczyni dusz kobieciątek, w rodzaju Lenki, grając na pewno posiadanemi atutami, postanowiła scenę zakończyć.

— Któż przeczy, że jest pani przyzwoitą kobietą! — rzekła również powstając z miejsca. — Któż przeczy... Prosiła pani o radę, rzuciłam luźną myśl... Tak postępowały osoby z najlepszego towarzystwa, zajmujące stanowiska społeczne znacznie wyższe od niej... Uczyni pani, co uzna za stosowne!.. Nikt nie zmusza... Tylko...

— Tylko?

— Przypominam, że mąż będzie musiał zapłacić za weksle!

Apatyczna natura Lenki zdobyła się na prawdziwy odruch gniewu.

— To podłe!.. — krzyknęła gwałtownie. — Podłe... to

szantaż... Namowa do nierządu...

Helmanowa obrzuciła swą ofiarę zimnym wzrokiem, powoli cedząc wyrazy:

— Zechce się pani liczyć ze słowami! Obrażać się nie pozwolę! Któż tu do nierządu namawia? Ustalmy fakty... Znalazłam się w posiadaniu zobowiązań z żyrem małżonka, pana Okońskiego... Nie wiedzieć czemu, strasznie się pani obawia, aby nie dowiedział się o terminie płatności, na który, zdaje się, powinien być przygotowany... Wielce to dziwne, dziś nikogo weksel bardzo nie straszy...

— Bo... bo...

— Dokończę... Dlatego panią ogarnął taki lęk o kieszeń męża, że podpisy na wekslach są sfałszowane!

— Sfał...

— Sfałszowane! — powtórzyła Helmanowa, mocno uderzywszy ubrylantowaną ręką w stos żurnali pokrywających stół. — Wiedziałam o tem od początku... Pani podrobiła podpis... Obecnie, znając dobrze charakter męża, obawia się, że gdy pozna prawdę, a dwa tysiące złotych stanowi dlań sumę znaczną, nietylko zobowiązań nie zapłaci, lecz dopuści do skandalu, sprawy sądowej, rozejdzie się natychmiast... Może się mylę? Nie? Sądzę, iż nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia! Pani pragnie odejść?

Każda inna, na miejscu Lenki, wybiegłaby bez wahania spiesznie z saloniku. Każda inna wyznałaby mężowi wszystko, błagając o ratunek. Każda inna, w jakikolwiek sposób postarałaby wyrwać się z sieci, jaką na nią zarzucono. Lecz nie Lenka. Zbyt na to była apatyczna i zbyt

ją przerażały sceny gwałtowne. Dobrze umiała Helmanowa wyszukiwać ofiary. Poryw gniewu, jak zwykle u natur mało energicznych, szybko zgasł. Lenkę ogarnęło z powrotem nerwowe drżenie.

— Pani nie odchodzi?

Nie miała siły poruszyć się z miejsca. Wydawało się jej, że jeśli opuści mieszkanie Helmanowej, nie zawarłszy kompromisu, wnet tam za progiem pochwyci ją policja, już powiadomiona o przestępstwie i odstawi do więzienia... Brr... więzienie... sąd.. Och, gdyby wiedziała, że policji i sądów szefowa „Helwiry“ więcej obawia się od niej.

W oczach Lenki zakręciły się dwie wielkie łzy i powoli spływały po zaczerwienionych policzkach. Usta zaś wyszeptały cicho.

— Czemu... czemu... ja właśnie...

Helmanowa odetchnęła. Opór ofiary został przełamany. Zresztą, spodziewała się tego od początku.

— Chce pani się zapytać — rzekła już uprzejmiejszym tonem — czemu zajęłam się skupieniem pani zobowiązań? Wyjaśnię... Istotnie, interesują mnie ładne kobiety w Warszawie, takie szczególniej, które znajdują się w niezbyt szczęśliwych życiowych warunkach... Bieda... nędza, lub mąż sknera, tyran... Oczywiście tylko kobiety przyzwoite, bo z byle kim zadawać się nie lubię... Chętnie zdaleka, z ukrycia im pomagam, ułatwiając kredyt... Cóż warta jest piękna niewiasta bez ładnych sukienek, bez jedwabnych pończoszek, bez najskromniejszego klejnociku? Tyleż, co najsmaczniejszy cukierek, zawinięty w brudny papier... Dziś ludzie żenią się zbyt pospiesznie, nie zastanawiając się

co dalej nastąpi... On przeważnie zajmuje jakie takie społeczne stanowisko, ale pensję ma tak marną, że żonie uczciwej na bawełniane pończochy starczy... Brnie w długi, później, kiedy trzeba płacić, nie znajduje wyjścia. Otóż w podobnych wypadkach, na horyzoncie ukazuję się ja... i ratuję od nieszczęścia... Postępując w podobny sposób, spełniam dobry uczynek, ocalam rodziny od upadku... Rzecz prosta, osoby na które zwróciłam uwagę są nieliczne i posiadam zamknięte koło przyjaciółek... Są one mi szczerze oddane... O pani dowiedziałam się przypadkowo, iż niezbyt jest szczęśliwa... Mąż brutal, oschły, zimny sknera... Starałam się nieznana, dopomóc, mniemając iż później pani mi wdzięcznością odpłaci. Chciałam jej stworzyć ten dobrobyt, którego małżonek stworzyć nie może lub nie chce... Cóż, odtrąciła pani moje rady... Szkoda!.. Życie ułożyłoby się zupełnie inaczej... stroje, klejnoty, własne pieniądze, niezależność od męża... Ale za to nie trzeba być naiwną i posiadać drobnomieszczańskich przesądów... Pani woli sfałszowane weksle...

— Nie... nie... — bąknęła niewyraźnie Lenka.

— Zastanawia się pani? Hm... Rozum do głowy nigdy nie przychodzi zbyt późno! Proszę, niechże pani z powrotem usiądzie...

W tejże chwili rozległo się pukanie do drzwi saloniku a w ślad za nim rozchyliły się one i ukazała się w nich głowa subretki czy też modystki. Jęła dawać jakieś pospieszne znaki szefowej, coś na kształt sygnalizacji, dostępnej jeno dla wtajemniczonych.

— Zostawię panią na chwilę samą! — rzekła

Helmanowa, wychodząc szybko.

Lenka upadła na fotel, tłumiąc chusteczką łkania. W jej duszyczce trwała już nie walka a ogarniała ją coraz większa bezsilność, wstęp do zupełnej kapitulacji. Sfałszowane weksle... Gniew męża... Awantura... Kto jej pomoże? Kto uratuje? Toć nie brat, biedny student, ani matka, żebrząca często parę złotych od Lenki, gdy nie starczała emerytura. W najlepszym wypadku, mąż zapłaci i wyrzuci ją z domu... Powrócić do matki na nędzę, na suchy chleb, słuchać wymówek, mieć piętno fałszerki... A tu ta Helmanowa rysuje takie ponętne obrazy... Spłacenie długów, niezależność, stroje... Twierdzi, że tak postępują i inne kobiety... Wymienia głośne nazwiska... Hrabina Melsztyńska, baronowa Della Paux... Znała dobrze z widzenia Lenka te dumne i wytworne panie i podziwiała je wielce zdaleka na przechadzce, lub gdy siedziały rozparte w lożach w teatrze, podczas kiedy ona z mężem zajmowała, gdzieś ostatnie miejsca... Może łatwo, im dorównać w zbytku i szyku?... Rozpusta nie jest tak straszna? Tak wygląda naprawdę dom schadzek? Ależ ta Helmanowa, choć omotała ją paskudnie wekslami, w gruncie bardzo miła i inteligentna kobieta...

— Więc jakże wypadł namysł? — nieco ironicznie zabrzmiał tuż nad Lenką głos kusicielki...

Właścicielka „Helwiry“, powróciwszy niespodziewanie, spoglądała na nią z uśmiechem.

— Jakże wypadł? — powtórzyła.

Lenka uczyniła pierwszy krok do zupełnej kapitulacji. Czerwieniąc się mocno i nie patrząc w oczy Helmanowej

szepnęła:

— A jeśli się zgodzę, to...

— To?

— Co... co... mam robić?

Helmanowa zerknęła na swą ofiarę, ubawiona naiwnością zapytania. Wnet jednak tłomaczyła tonem spokojnym, jak gdyby chodziło o sprawę błahą, lub zwykły handlowy interes.

— Wejdzie pani do przyległego pokoju i chwilę zaczeka! Niezadługo znajdzie się tam jeden pan....

— Ach, nie... nie... Zgadzam się, ale nie zaraz! — zawołała Lenka.

— Dziś, albo nigdy! — odparła twardo rajfurka, obawiając się, że jeśli Okońska ochłonie z wrażenia może zmienić decyzję. — Nie lubię odwłoki...

— Straszne! Ja... ja.... obcy mężczyzna...

— Proszę nie być dzieckiem!

— Kiedy... naprawdę... dotychczas... tylko mąż...

— Droga pani! — znów zdania przewrotne popłynęły z ust Helmanowej. — O ile wiem, a jestem dobrze poinformowana, niezbyt pani kocha męża i nie jest on bardzo miły... Gdyby tu o prawdziwą zdradę chodziło? Ale... Toć, wychodząc za mąż nie uczyniła pani nic innego, niźli obecnie zamierza uczynić...

Słowa te, niczem jad, wślizgiwały się do duszy Lenki. Ileż razy znosiła wstrętne pieszczoty starego i obrzydliwego męża? Ma rację, w gruncie, Helmanowa... Zresztą — nagle zawirowała przekorna myśl — może obecnie odpłacić się sknerze za wszystkie poniżenia i przykrości. A nuż to kto

młody i przystojny? Tylko... Była pozbawiona zasad moralnych, ale grały w niej resztki wstydu.

— Naprawdę... — bąknęła.

— Jeżeli nalegam — dalej tłomaczyła właścicielka „Helwiry“, nie przejmując się protestami Lenki — to dlatego, że nie wolno nam przepuścić znakomitej okazji... Przypadkowo odwiedził mnie pewien znajomy pan, bardzo zamożny człowiek i za godzinkę... rozmowy... z panią ofiarowywuje... pięćset złotych. Z tej sumy zatrzymam trzysta złotych, jako procent za prolongatę długu i o swoje weksle może być pani całkowicie spokojna, resztę pozostawię do jej dyspozycji...

Dwieście złotych! Takiego majątku Lenka nigdy nie posiadała w gotówce! Zobowiązania, ciężące jak kamień, spadają z głowy. Lekkomyślnej kobiety nie uderzył nawet szczegół, że rajfurka lwią część „zarobku“, nie dając nic wzamian i nie zwracając rewersów zabierała dla siebie.

— A jak on wygląda? — padło nieśmiałe zapytanie. — Młody?

— W średnim wieku.... Lecz bardzo miły i elegancki...

— Znów stary! — wyrwał się jej okrzyk. — Okropne...

— Niestety, przeważnie starzy mają pieniądze! — odrzekła sentencjonalnie Helmanowa. — Cóż robić.... Więc...

— Czy „tam“ będzie ciemno?

— Skoro pani sobie życzy, może zgasić światło!

— I on... on... mnie... nie zobaczy? Nie pozna później...

— Oczywiście!

— Zgodzi się na podobny warunek?

— Potrafię go namówić!

Lenka odetchnęła z ulgą a po twarzy Helmanowej przebiegł cień uśmiechu. Umyślnie nie dodała chytra rajfurka, że „klijent“ zdążył Lenkę już obejrzeć jaknajdokładniej. Stało się to wówczas, kiedy powiadomiona o jego przybyciu przez służącą na chwilę opuściła pokój. Wtedy, przez otwór, ukryty znakomicie w ścianie saloniku, „zademonstrowała“ swą świeżą zdobycz, nie zapominając zaznaczyć, że jest to nie tylko „nowicjuszka“, ale i kobieta z najlepszego towarzystwa, żona wysokiego urzędnika, niemal dygnitarza. Że znajomość z podobną niewiastą stanowi rzadką okazję, którą należy opłacić na wagę złota. Stałego bywalca „salonu“ pani Helmanowej uderzyła nieprzeciętna uroda Lenki.

Mogła ona w rzeczy samej bardzo się spodobać, a podniecenie i niepokój, jakie ją trawiły, gdy pozostawała w saloniku sama, dodawały życia i uroku apatycznej zazwyczaj twarzy. To też, albo uwierzył, albo i nie uwierzył, że dzięki pomocy właścicielki „Helwiry“ zawrze bliską znajomość z damą z wysokiego towarzystwa, lecz na wygórowaną sumę zgodził się chętnie. Suma ta przenosiła nawet o dwieście złotych cyfrę wymienioną przez Helmanową Lence — lecz był to już jej „osobisty“ zarobek. Zamożnemu „klijentowi“, w stałej pogoni za niezwykłą przygodą, nie czynił różnicy podobny wydatek, zresztą kiedy spostrzegł Lenkę, zafrapował go pewien szczegół...

— Więc... — nagliła „szefowa“.

— Jeśli pani ręczy, że wszystko nastąpi... jak prosiłam...

— Ręczę... ręczę... To, stary przyjaciel...

— Dokąd... mam pójść?

— Zechce pani udać się za mną...

Helmanowa szybko podniosła się z miejsca, obawiając się, że „stary przyjaciel“, zrażony długą konferencją, zniecierpliwi się jeszcze i odejdzie. Otworzywszy drzwi, wiodące z saloniku do dalszych pokojów, wskazała drogę.

— Ot... tu...

Nagle, jakby uderzyła ją pewna myśl.

— Czy pani ma jedwabną bieliznę? — padło fachowe zapytanie.

Lenka, zaczerwieniona, skinęła głową.

— Doskonale! — rzekła „szefowa“. — Proszę zaczekać... Zaraz „go“ poproszę...

— — — — — — — — — — — — — — —

Lenka znalazła się w niewielkim buduarze, który niczem nie przypominał sypialni.

Widocznie właścicielka „Maison de modes Helwira“ umyślnie swe zaciszne gniazdko urządzała w ten sposób, aby w razie niespodziewanej wizyty władz nie miano się do czego przyczepić i nie nosiło ono dwuznacznego charakteru.

Pokój, przeznaczony dla „przymiarek“ klijentek został wyposażony w to wszystko co wymaga wykwint, wygoda i zawodowe wymagania — pozatem nic więcej. Tedy wielkie lustro o trzech skrzydłach w którem obejrzeć się można ze wszech stron, szeroka, niska otomana, zasłana skórą białego

niedźwiedzia, a pokryta niezliczoną ilością poduszek i poduszeczek, obrazy treści erotycznej na ścianach, lecz nie przekraczające dozwolonej granicy, w rogu szafa, zapewne zawierająca sukienki, lub modniarskie przybory, dalej mały stoliczek, parę krzesełek, za parawanem umywalnia. Tak wyglądał buduarek normalnie przy pierwszych spotkaniach, aby nie zrażać bardziej płochliwych nowicjuszek. Lecz, gdy zachodziła potrzeba a Helmanowa była pewna bezkarności, otomana zamieniała się w wygodne łoże z wykwintną pościelą, umywalnię pokrywał rząd kosztownych flakonów z perfumami a na niskim stoliczku ustawiano butelki z winem, likierem i przybory do czarnej kawy. Trójskrzydłowe zaś lustro służyło li tylko poto, aby odbijając obrazy, potęgować szał.

Lenka niepewnie rozejrzała się dokoła. Zrzuciła płaszczyk i kapelusz, przejrzała się w lustrze, poprawiła włosy, upudrowała twarz — poczem podbiegła do kontaktu elektrycznego, gasząc światło.

W pokoju zapanował prawie mrok, rozjaśniony nieco blaskiem latarń ulicznych, przedzierającym się po przez cienkie sztory.

Upadła na otomanę, ukrywszy twarz w poduszkach.

Za chwilę...

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Stanisław Antoni Wotowski](#).*

ROZDZIAŁ II.

Zagadkowa panna.

Fred nie skłamał siostrze twierdząc, że śpieszy na spotkanie ze śliczną panną. Nie skłamał również, że jego znajoma jest osóbką wielce tajemniczą. Właśnie ta tajemniczość dręczyła go najbardziej. Gdyby miał więcej czasu, opowiedziałby wszystko siostrze — byle się wywnętrzyć — boć, znając dobrze jej charakter, mądrej rady nie mógł się spodziewać.

A dużo dałby za nią...

Korski, całkowite przeciwieństwo Lenki — chłopak prawy i energiczny — bodaj po raz pierwszy w życiu znalazł się w duchowej rozterce przez niewiastę. Czuł, że wpadł i to po uszy. Całkowicie dotychczas pochłonięty pracą, aby zarobić kilkaset złotych miesięcznie, dopomóc matce i wyżywić siebie, mało uwagi zwracał na kobiety. Czas dzielił pomiędzy studja w uniwersytecie, parę lekcji i pracę u adwokata. Choć do przystojnego i wesołego chłopaka niejedna panienka „sypnęła“ ogniste „oko“, za miłostkami się nie uganiał, będąc zbyt zajęty i nie mając na lekkomyślne znajomości chęci...

„Nieszczęście“ spotkało go dopiero przed miesiącem i jak zazwyczaj w podobnych wypadkach bywa niespodzianie.

Powracając kiedyś, dość późnym wieczorem Miodową, z kancelarji adwokata w której dłużej pozostał zatrzymany dodatkową pracą, natknął się na rogu Krakowskiego Przedmieścia na następującą scenę. Jakiś pijak — niewiadomo dla czego, w tej dzielnicy miasta kręci się stale najwięcej pijaków — korzystając z nieobecności przechodniów, natrętnie zaczepiał skromnie wyglądającą panienkę. Uciekała coraz śpieszniej przerażona, lecz opój nie dawał za wygraną, doganiał ofiarę i brutalnie szarpał za ramię.

Wystraszone oczy dziewczyny, w których kręciły się łzy, z niemą prośbą spoczęły na Fredzie. Ten, nie namyślając się długo, pchnął napastnika tak, że opój spoczął w rynsztoku, poczem przedstawiwszy się zaproponował panience, iż ją odprowadzi do domu. Propozycja przyjęta została z wdzięcznością.

Po drodze, dowiedział się Fred, że nieznajoma zamieszkuje na ulicy Długiej i nazywa się Hanka Gliniewska. Dalej dowiedział się, że jest całkowicie samodzielna, gdyż rodzice jeszcze przed wojną umarli, że studjowała za granicą, w Szwajcarji filozofję i od niedawna bawi w Warszawie, zamieszkując ze starą ciotką. Że niewielu posiada znajomych w stolicy, a czas spędza na uzupełnianiu swych studjów. Przyjęłaby chętnie posadę bibljotekarki, sekretarki, lub nauczycielki, gdyż choć posiada po rodzicach pewien kapitalik, zabezpieczający od życiowych trosk, uważa, że każda kobieta powinna pracować i wstrętne jej jest życie bezczynne.

Panna Hanka Gliniewska wywarła na Fredzie od

pierwszej chwili wrażenie wielkie, a przypadkowe spotkanie zapoczątkowało trwałą znajomość.

Poprosił o pozwolenie odwiedzenia nazajutrz — na co panienka zgodziła się chętnie, snać chcąc zaznaczyć swą wdzięczność wybawcy — i odtąd Fred stał się na Długiej prawie codziennym gościem...

Dotychczas nic w tej historji nie było niezwykłego, prócz trochę romantycznego początku i sama panna Hanka nie otaczała się tajemniczością — zagadkowe dopiero nastąpiło później.

Właściwie z początku cieszył się Fred. Gliniewska przedstawiała typ panny całkiem odmienny od współczesnych „chłopczyc“. Aczkolwiek bardzo przystojna — wysoka, szczupła brunetka o dużych, wyrazistych oczach — stroniła od zabawy, wiodąc skromne prawie odosobnione życie. Książki wystarczyły jej za wszystko i czasem tylko Fredowi udawało się wyciągnąć ją na spacer lub do kina. Natomiast nigdy do cukierni, a gdy wspomniał kiedyś o dancingu, spojrzała nań z oburzeniem, jak się spogląda na człowieka, proponującego zwiedzenie piekła. Coraz więcej zachwycał się Fred swą nową znajomą i coraz bardziej lgnął do niej sercem.

Takiej, jemu człowiekowi pracy, potrzeba było towarzyszki. Nie lalki, a kobiety — energicznej i rozumniej. Taka, gdy poda rękę mężczyźnie, potrafi walczyć przy jego boku nawet o chłodzie i głodzie. W domu Hanki odnajdywał to, czego mu brakło w własnym domu. Inteligencję i serdeczne ciepło. Tej atmosfery nie mogła mu dać matka, kobieta niezbyt mądra i prosta,

wdowa po skromnym kolejarzu, wiecznie narzekająca na biedę i ciężkie czasy, dla której małżeństwo Lenki było wielkim zaszczytem, jaki spadł na ich rodzinę...

Och, gdyby inaczej wychowała siostrę i wpoiła w nią jakie takie zasady, miast twierdzić, że ładnej dziewczynie nauka nie potrzebna, bo prędzej czy później dzięki urodzie złapie męża i zrobi „karjerę“.

Tego serdecznego ciepła nie mogła mu dać również Lenka. Oburzał się na jej zamążpójście, nazywał je zwykłym „handlem“ a starego sknerę Okońskiego nienawidził i rzadko ich odwiedzał. Od czasu do czasu, przeważnie kiedy „gmyrek“ bywał nieobecny. Aczkolwiek bardzo kochał siostrę, nie zwierzał się jej ze swych kłopotów, a nierzadko starał się zbuntować przeciw „staremu“, aby go porzuciła i wzięła się do jakiej pracy — przeważnie jednak ustępował, zrażony lenistwem i bezdusznością Lenki. To więc, czego dać mu nie mogli najbliżsi, odnalazł w domu Hanki....

Lecz....

Początkowo radość Freda przyćmiło w ostatnich czasach dziwne zachowanie się panny...

Właściwie od tygodnia....

Ona, taka dotychczas szczera i naturalna, zmieniła się nagle nie do poznania. Nachodziły na nią jakieś dziwne zadumy, w czasie których milczała, patrząc przed siebie tępym wzrokiem, lub raptem bez powodu, w oczach kręciły się łzy. Cóż to miało znaczyć? Zaniepokojony zapytywał o przyczynę smutku — i zapytania pozostawały bez odpowiedzi.

Więcej jeszcze. Jeśli przedtem wydawało się Fredowi, że nie jest Hance obojętny i na jego uczucie odwzajemni się uczuciem — obecnie tracił nadzieję. Nie tylko unikała go przed dni ostatnie, często wychodząc z domu, lecz gdy napotkał ją przypadkiem wczoraj na ulicy i żartobliwie zapytał z jakiej „randki“ powraca — tak się zaczerwieniła i zmięszała, że przystanął zdumiony. Czyżby odgadł trafnie? Czyżby serce Hanki żywiej zabiło dla kogoś innego, z kim biedny student Fred, nie mógł iść w zawody? Prawdopodobne, choć niezrozumiałe... Toć Hanka prócz niego nie widuje nikogo...

Energiczny charakter Freda, nie znosił niewyraźnych sytuacji.

Wszystko wyjaśnić!

W tym celu biegł śpiesznie Marszałkowską na Długą, gdy przypadkiem, po drodze, napotkał siostrę. Ale, jeśli rozmawiając z Lenką, udawał dobry humor i twierdził, że oczekuje go spotkanie z piękną panną, w gruncie drżał z obawy, jak wypadnie odpowiedź tej „cudnej panny“, od której zawisły dalsze losy.

Pożegnawszy Lenkę, wskoczył do tramwaju i rychło znalazł się na miejscu.

O, jakże drżało mu serce, gdy trawiony nieokreślonem, złem przeczuciem, szybko przeskakiwał po trzy stopnie naraz, dobrze znajomych schodów. A nuż nie zastanie Hanki? Wszak nie uprzedził o dzisiejszych odwiedzinach. Idzie, wiedząc, iż zazwyczaj około piątej bywa w domu. A pragnąłby ją ujrzeć koniecznie, rozmówić się szczerze, posłyszeć decyzję ostateczną...

Zadzwonił...

Za drzwiami rozległo się człapanie pantofli. Rychło rozwarły się one i ujrzał starą, pomarszczoną twarz ciotki Hanki.

— Czy zastałem panną Gliniewską?

— Jest... Niech pan wejdzie...

Wpuściła go do mieszkania. Więc jest! Z radością niemal, za tę dobrą nowinę, ucałował rękę starszej pani, która natychmiast potem podreptała do kuchni. Była to osoba naprawdę mało krępująca, ta ciocia Klara, w rzeczywistości, zdaje się, daleka kuzynka Gliniewskiej. W pokojach ukazywała się rzadko, stale zaprzątnięta nakładaniem korniszonów do słoików, smażeniem konfitur, lub drobnemi utarczkami ze służącą. Czasem tylko zjawiała się niespodziewanie, niosąc na spodku znakomite maliny, czy truskawki. Wtedy jej wzrok surowo zatrzymywał się na Fredzie, jakby mówiąc: — „Oceń ciotkę Hanki!“ Z tą damą, w czasie całej znajomości, Fred zamienił najwyżej słów setkę, a wśród nich nie było innych wyrazów, niźli: „Dzień dobry“, „dowidzenia“, „dziękuję“.

Fred znał dobrze rozkład mieszkanka. Składało się ono z trzech niewielkich pokoików, tworząc amfiladę. Pierwszy stanowił coś w rodzaju salonu i tam nocowała ciocia Klara. Drugi był stołowym, zaś ostatni — sanktuarjum Hanki.

Raźno przebiegł, zasłaną czerwonym chodnikiem drogę, dzielącą go od ukochanej i spostrzegłszy, że drzwi od jej pokoju są otwarte, śmiało zajrzał.

— Ach to pan! — zawołała, powstając z miejsca i czerwieniąc się trochę na widok niespodziewanego gościa

— Nie oczekiwałam...

— Idąc tędy za sprawami mego mecenasa — skłamał — ośmieliłem się wpaść na chwilę!... Jeśli przeszkadzam...

— Wcale pan nie przeszkadza!... Proszę usiąść...

Przysunąwszy sobie krzesełko, zajął miejsce, uradowany pomyślnym wstępem.

— Co pani porabia? — rzucił niby od niechcenia, medytując w duszy, jak przyjść najzręczniej do palącego tematu... — Nie widzieliśmy się dawno...

— Tylko wczoraj na ulicy!

— Nie liczy się podobne spotkanie! — zażartował. — Natomiast od kilku dni nie mogę pani zastać w domu!

— Tak jakoś się składa...

— Zajęta pani?

— Bardzo... bardzo...

Zapewnienie — to zabrzmiało dość słabo w ustach ładnej panny. Fred pochłaniał wzrokiem zgrabną sylwetkę Hanki, miłośnie pieścił oczami delikatne rysy, wyrżnięte, rzekłbyś, w greckiej kamei. Była ona dlań najmilsza i najpiękniejsza ze wszystkich kobiet na świecie. Miałżeby ją stracić? Nagle uderzył go pewien szczegół.

— Źle pani wygląda, panno Hanko!

— Źle wyglądam? — zmieszała się bardzo — Nie... Wydaje się panu...

Odwróciwszy się od Freda, podeszła do stojącego w głębi pokoju tapczanu i usiadła na nim. Październikowy dzień kończył już swój żywot i tam pełzły pierwsze wieczorne cienie. Gdyby nie półmrok, łatwo spostrzegłby, że nietylko jest bledsza niż zwykle, lecz ma zapadnięte

policzki, oczy podkrążone, noszące ślady wylanych łez.

Lecz nie mógł tego zauważyć, a zreflektowawszy się że poprzednią uwagą, mimowolnie jej sprawił przykrość, zmienił przedmiot rozmowy.

— Studjuje pani, panno Hanko! — rzekł, wskazując szereg książek, leżących na stole. — Pani pokój, to istna pracownia literatki, czy uczonego.

Powiódł wzrokiem dokoła. W rzeczy samej urządzenie gabineciku Gliniewskiej, choć nosiło piętno kobiecej ręki, dalekie było od niewieściej zalotności. Wzdłuż ścian ciągnął się rząd niskich, drewnianych półek, a na nich stały tomy i tomiki w różnobarwnych oprawach. Nad niemi porozwieszano gustownie kilimy, ozdobione tu i owdzie akwarelą, reprodukcją dzieła sztuki lub gipsowym odlewem. Tak wygląda pokój kobiety, która pracuje i myśli, a nie kokietki, czy modnisi. Parę kwiatów w ceramikowych wazonach ożywiało całość, a stojący pośrodku stół, służył za biurko.

— Ciekaw jestem, co pani studjuje? — powtórzył, podniósłszy się z krzesła i podchodząc do stołu — Pewnie jaka rozprawa filozoficzna! — dodał, biorąc jedną z książek do ręki.

— Niech pan zostawi! — wyrwał się Hance nagle okrzyk.

Fred zdziwiony położył książkę na miejsce. Ale już było za późno. Zdążył przeczytać. Tytuł broszury brzmiał: „Samobójstwo“, a na otwartej karcie grubo ołówkiem ktoś podkreślił frazes: „Czy samobójstwo jest bohaterstwem, czy też dowodem słabości?“

— Dziwne? — szepnął.

— Nic dziwnego tu niema! — oświadczyła z rozdrażnieniem. — Może pan sądzi, że pragnę sobie życie odebrać? Nie każdy, kto czyta w tym rodzaju rozprawki żywi podobne zamiary... Ot pociągnął mnie temat...

— Ależ bynajmniej nie posądzam! Tylko pani tak krzyknęła...

— Bo to niedelikatność, szperać po cudzych stołach!

— Dotychczas nie zwracała mi pani uwagi! Ale jeśli zawiniłem, przepraszam... Bardzo przepraszam...

Urwał i w pokoju zapanowało ciężkie, pełne niedomówień milczenie. Fred nerwowo gryzł usta, trawiony dręczącemi przypuszczeniami, a Hanka, opuściwszy oczy na dół, zamyślona, wodziła paluszkiem po kremowej narzucie, zaścielającej tapczan.

Wreszcie Fred pierwszy nie wytrzymał.

— Panno Hanko! — wyrzucił z siebie gwałtownie. — Czy nie uważa pani, że najwyższy czas, abyśmy porozumieli się szczerze?

Spojrzała nań, niby zbudzona z głębokiego snu.

— O co właściwie chodzi?

— Zmieniła się pani od kilku dni... Od tygodnia nie dopoznania!

— Ja... zmieniłam?

— Tak! Chwilami mam nawet wrażenie, że moja obecność jest jej niemiła!

— Pańska obecność niemiła? — w wyrazistych oczach Hanki odbiło się zdumienie, a ładnie zarysowane usta skrzywił dziwny grymas. — Skąd podobny wniosek?

Jeśli Fred zdecydował się rozpocząć drażliwą rozmowę, nic nie mogło go zatrzymać w pół drogi.

— W takim razie zechce pani mi wyjaśnić, co to wszystko znaczy... Pani zazwyczaj energiczna, zrównoważona, jest teraz wysoce zdenerwowana, przybita... nieswoja... Kiedyśmy się spotkali na ulicy i zapytałem, skąd pani powraca, spostrzegłem wyraźnie zmieszanie...

— Nowe przywidzenia!

— Przywidzenia? Czemuż pani dziś taka zmieniona i blada, czemu oczy wydają się zapłakane i naraziłem się na jej gniew, biorąc do ręki książkę, traktującą o samobójstwie.... Pani podkreśliła w broszurze ustęp dwuznaczny ołówkiem!

— Panie Fredzie...

— Wnoszę więc, że dręczą panią jakieś troski... Może poważne zmartwienia, skoro rozpaczliwe myśli przychodzą do głowy... Może waha się pani przed jakimś stanowczym krokiem? A nuż umiałbym doradzić...

— Nie mam żadnych zmartwień!

— Czy to ładnie być tak skrytą, panno Hanko?

Teraz jej oczy zabłysły gniewnie.

— Jakiem prawem pan mnie bada? Skąd ta indagacja?

Fred nie zważał ani na szorstki ton panny ani też na głęboką zmarszczkę, jaka zasępiła jej czoło. Zbliżywszy się do tapczanu, na którym siedziała, wtulona w poduszki, zawołał namiętnie.

— Pani zapytuje o prawo? Czy pani się nie domyśla, że ją kocham!

— Ach! — westchnienie przestrachu wyrwało się z piersi Hanki i nagłym ruchem wyciągnęła przed siebie ręce, jakby broniąc się przed tem wyznaniem.

— Kocham! — powtórzył mocno, a jego głos zadźwięczał ciepłą i serdeczną nutą. — Kocham ponad wszystko w życiu...

— Proszę przestać...

— Nie kochałem dotychczas nigdy! — mówił nie zważając na okrzyk — i dla tego może jest mi pani tak droga.... Raziła mnie większość dzisiejszych niewiast, zalotnych i bezdusznych lalek... Poszukiwałem ideału... aż napotkałem panią... Och, jakże pani niepodobna do innych... Prawa, szlachetna, rozumna...

— Nie... nie...

— Marzyłem zawsze o takiej towarzyszce!... Marzyłem, że jeśli pani poda mi rękę, łatwiejszą stanie się straszliwa walka o byt. Że uwijemy sobie gniazdko, w którem zagości szczęście, i że do tego gniazdka nie dotrą powszednie troski, jakiemi nas obdarza każdy dzień... Pracować umiem i pracy się nie lękam!.. Zresztą nasze potrzeby skromne... Dobrze byłoby nam ze sobą, panno Hanko! Ale... Chwilami wydawało mi się, że nie jestem pani obojętny i na moje uczucie odpowie pani uczuciem... Niestety, wydawało mi się tylko!... Obecnie tracę nadzieję...

— Błagam pana....

Spojrzał na nią z niepokojem:

— Przykrość pani sprawiło moje wyznanie?

Oczy Hanki rozszerzyły się niepomiernie. Niby kamienny posążek, nieruchomo siedziała przez chwilę.

Niespodziewanie po bladej twarzyczce przebiegł jakiś tragiczny skurcz, w źrenicach zaszkliły się łzy.

— Mnie... tego... słuchać... nie wolno! — cichutko wyszeptały jej usta.

— Co?.. co... Pani nie wolno?

Serce Freda ścisnęło się boleśnie, jakby kto je pochwycił żelaznemi kleszczami.

— Czemu? — ledwie wyrzucił z siebie przez zdławione niepokojem gardło.

— Bo... bo... nie wolno...

Znać było, że wymawiając te słowa, Hanka czyni niezwykły wysiłek. Nagle, złamana toczącą się w niej duchową walką, osunęła się na poduszki i ukrywszy w nich twarz, głośno załkała.

— Panno Hanko! Pani płacze...

Przypadł do ukochanej i pochyliwszy się nad nią blisko, mówił podniecony:

— Taką sprawiłem przykrość? Przepraszam, bardzo przepraszam... Choć nic nie pojmuję?... A właściwie zaczynam pojmować. Kocha pani innego! Moje wyznanie miłosne rażą...

Łkanie stawało się coraz głośniejsze.

— Więc kogoś innego pani kocha?

Nachylał się coraz bliżej, dotykając prawie jej ramienia i nie otrzymując odpowiedzi. Choć burzyło się w nim wszystko na myśl, że utraci tę najdroższą dziewczynę, rozumiał, iż nie ma prawa czynić wymówek. Była wolna i nic mu nie obiecywała. Łudził się tylko, nadając uprzejmym słówkom Hanki poważniejsze znaczenie.

— Ha, trudno! — rzekł, starając się okazać na pozór spokojnym. — Niepotrzebnie pani płacze... Nie zamierzam dłużej się naprzykrzać... Odchodzę...

Odszedłby może Fred, z rozpaczą w duszy, gdyby w tejże chwili nie nastąpiło coś, całkiem nieoczekiwanie.

Raptem Hanka uniosła, od poduszek twarzyczkę, zroszoną łzami, a wzrok jej z jakimś wyrazem bezmiernej męki, spoczął na Fredzie. Wydawało się, że teraz nie ona działa a działa za nią moc, wewnątrz ukryta, łamiąca wszelkie postanowienia.

— Ja miałabym kochać innego? — zabrzmiał pełny bólu wykrzyknik.

Ramiona Hanki — rzekłbyś — wyciągnęły się same. Ciepłe ramiona oplotły szyję Freda i zacisnęły się dokoła niej kurczowo, a główka przywarła do jego policzka.

— Więc kochasz mnie? — zawołał, oszalały z nadmiaru szczęścia. — Kochasz! Pocóż było dręczyć tak długo...

W milczeniu, tuliła się do Freda coraz mocniej, jak dziecko szukające opieki przed niebezpieczeństwem, lub ktoś, kto żegna drogą osobę, pragnąc się z nią rozstać na zawsze.

— Moja Haneczka! Moja złota, jedyna... — wołał w uniesieniu, osypując jej twarzyczkę i włosy pocałunkami. — Nigdy już nie będziesz smutna... Prawda? Och, jakżem szczęśliwy...

Nagle, równie niespodziewanie, jak przywarła do niego — Hanka odepchnęła Freda. Wyślizgnąwszy się z objęć, odskoczyła w róg pokoju. Oczy jej zabłysły groźnie.

— Jak pan śmiał? — zmierzyła go oburzonym

wzrokiem.

Fred zachwiał się na nogach i również się cofnął. Doznał wrażenia, że strącają go z górskiego szczytu w przepaść bezdenną. Lub też, że nagle uległ pomięszaniu zmysłów.

— Przecież pani sama... — usiłował tłomaczyć.

— Jak pan śmiał? — powtórzyła z wzrastającym gniewem.

— Panno Hanko...

— Proszę wyjść!

Głos jej zadźwięczał histerycznie, krzykliwie a oczy patrzyły błędnie.

Fred załamał ręce z rozpaczą. Rozumiał, że uległa nerwowemu atakowi. Jeszcze pragnął ją uspokoić.

— Pani Hanko, pani jest chora! Pani nie wie ani co mówi ani czyni... Zaklinam... niechże się pani uspokoi...

— Ja chora? Nie wiem co robię? Ha... ha... ha... Nie mogę się patrzeć na pana!... Czemu pan mnie dręczy i nie idzie?... Chcę, żeby pan odszedł... Odszedł...

Wykrzykniki stawały się coraz głośniejsze i dotrzeć musiały do kuchni, bo nagle rozległ się skrzyp otwieranych drzwi, słychać było pośpieszne człapanie i na progu pokoiku Hanki, ukazała się ciotka Klara. Jedna jej ręka pośpiesznie poprawiała fartuch a druga dzierżyła dużą drewnianą, kuchenną łyżkę, snać w pośpiechu zabraną ze sobą.

Na widok niezwykłej sceny — Hanki wtulonej w róg pokoju, z groźnie podniesioną rączką, wskazującą w kierunku drzwi i stojącego przed nią, zmieszanego Freda, który coś usiłował tłomaczyć, oblicze starej pani przybrało

wyraz niezwykłego zdumienia.

— Co się tu dzieje? — zapytała.

— Nic... nic... — zamamrotał.

— Jakto nic? Hanka wystraszona? Woła, zdaje się, o pomoc... Obraził ją pan? Zachował się niewłaściwie? Nie spodziewałam się nigdy... Wstyd! — ręka pani Klary, trzymająca łyżkę uniosła się do góry i łyżka srogo zachwiała się w powietrzu, niczem broń wymierzona przeciw napastnikowi.

Fred oburącz porwał się za głowę.

— Ja obraziłem? Ja zachowałem się niewłaściwie? Nie, to przechodzi wszelkie granice!... Zwariuję....

Pędem wypadł z gabineciku Hanki, o mało nie przewróciwszy ciotki Klary po drodze. W przedpokoju porwał swą czapkę, otworzył drzwi i wielkiemi susami zbiegł po schodach.

Gdy w chwilę później szedł ulicą Długą, liczni przechodnie ze zdziwieniem spoglądali na młodego studenta — który wędrował, rzekłbyś pijany, z gołą głową, mnąc czapkę w ręku i wykrzykując głośno, do siebie, jakieś wyrazy...

— — — — — — — — — — — — — — —

Długo błąkał się Fred, skręciwszy w Staromiejską dzielnicę, zanim zdążył nieco się uspokoić. Dopiero, kiedy przystanął w jednej z uliczek, wiodących nad Wisłę, a chłodny wiatr, biegnący od rzeki, jął zimnym strumieniem chłodzić rozpalone policzki, oprzytomniał.

Starał się ułożyć rozwichrzone myśli w pewien porządek.

Cóż to wszystko miało oznaczać? Hanka pierwsza zarzuca mu ręce na szyję, a później go odpycha? Hanka wyznaje prawie swą miłość a później twierdzi, że ją obraził. Ona, taka zrównoważona, ulega nagle histerycznym atakom? Każe odejść? Wyprasza z mieszkania? Jakaż przyczyna podobnie dziwacznego postępowania? Kaprysy? Fantazje? Zbyt dobrze zna Hankę, aby mógł choć na sekundę ją o to posądzić! Więc... Jest chora? Ma gorączkę? Nie wie, co mówi, co czyni... Działała w malignie? Możliwe aczkolwiek mało prawdopodobne... Ach!

Raptem, jakto niekiedy w chwilach wielkiego duchowego napięcia bywa, myśl niespodziana uderzyła Freda niczem błyskawica, oświetlająca mroki.

— Tylko to...

Pojmuję! Hanka żywi dlań również uczucie, lecz z jakichś względów złączyć się z nim nie może! Oto powód smutku, trawiącego ją od paru dni... Powód zamyśleń, łez, studjowania książek o samobójstwie... Aż tak dalece?... Biedna Hanka... Biedne złote maleństwo... Tłumiła umyślnie swą miłość dla Freda, wiedząc iż drogę do ich szczęścia przegradzają niezwalczone przeszkody. Teraz rozumie wszystko!... Rozumie, czemu unikała go ostatnio, czemu ogarnął Hankę taki lęk, gdy wyznał, że ją kocha i czemu z jej ust padły słowa: „tego mi słuchać nie wolno“... Jej kochać Freda nie wolno! A kiedy nastawał na odpowiedź jasną, milczała, nie chcąc odrzec, że wbrew jej woli, muszą się rozstać. Ale ta odpowiedź wypadła i tak aż

nadto jasno! Bo nagle, ulegając porywowi mocniejszemu, niźli wszelkie postanowienia, przytuliła się do piersi Freda. Och, jakże był wymowny ten niemy uścisk! Mówił on i o głęboko tajonem uczuciu i o konieczności rozłąki... Hanka przywarła rozpacznie do Freda, jak ktoś, co na zawsze żegna się z ukochanym... A potem... Potem umyślnie padły z jej ust słowa szorstkie, brutalne... Umyślnie, aby on, opacznie wytłomaczywszy sobie całą scenę, obraził się — i pomiędzy niemi legła przepaść.

— Boże!

Lecz jakie są przyczyny, uniemożliwiające ich miłość? Tu serce Freda drgnęło gwałtownie. Któż broni Hance w nim się kochać? Jakaż wiąże ją tajemnica? Tajemnica tak groźna, że wyznać mu jej nie może, czy nie chce, zastanawiając się raczej nad samobójstwem.

— Tedy...

Hanka, gdy ją poznał już była zaręczona? Hanka dała komuś słowo? Ależ żaden mężczyzna, prócz Freda, jej nie odwiedzał? Te zaręczyny? Nieznane względy skłaniają do poślubienia wstrętnego Hance człowieka? Jakie względy? Rodzinne? Toć jest całkowicie od nikogo niezależną! Zagadki, same zagadki... Ach, czemuż Hanka nie chciała z nim szczerze się rozmówić...

Lecz, jeśli te wszystkie przypuszczenia są słuszne — Fred nie ustąpi! Nie da sobie wydrzeć, biednej, kochanej Hanki... Pójdzie walczyć o nią, choćby z tytanem, choćby do piekła... Jemu mianoby zabrać najdroższe maleństwo? O nie! Nie taka to natura Freda i nie przerażą go żadne przeszkody.

Energicznie potrząsnął głową, powziąwszy postanowienie.

Czemuż nie domyślił się wcześniej? Zrobił głupstwo, wybiegłszy, jak szalony z mieszkania. Należało pozostać... Lecz nie było mu wszystko tak jasne, jak jest obecnie, nie rozumiał dobrze postępowania Hanki. Natychmiast należy głupstwo naprawić i tam powrócić. Skoro wie, że ona go kocha, zaklnie ją najświętszemi słowami, zmusi do wyznania... Zmusi, aby powiedziała nareszcie, co ich dzieli... Nie istnieją przeszkody, którychby się nie dało usunąć...

Fred zawrócił, i kierując się powtórnie w stronę ulicy Długiej.

— Zwycięży!

Lecz im bliższa przestrzeń poczynała go dzielić od ukochanej, tem mocniej odzywał się niepokój. Niepokój, który pojawił się nagle. Jak go przyjmie? Czy wogóle zechce rozmawiać? A nuż poleci ciotce nie wpuścić do mieszkania, uda, że jest nieobecna, lub znów niegrzecznie za drzwi wyprosi.

Serce Freda biło gwałtownie.

Może teraz nie iść? Zaczekać do jutra, aż Hanka się opamięta?... Wszystko wyjaśnić listownie?

Już dom...

Co zrobić, co postanowić, aby nie pogorszyć sprawy?

Iść, nie iść?

Stojąc przed kamienicą, w której zamieszkiwała panna Gliniewska, biedził się Fred, jakie powziąć postanowienie.

Długo zapewne trwałby ten namysł i nie wiadomo, jak

wypadłaby decyzja Freda, gdyby nie nastąpił niespodziewany wypadek...

Przypadek równie nieoczekiwany, że mało głośno nie krzyknął.

Bo oto kiedy tak stał w niepewności, na przeciwległym od kamienicy chodniku, raptem z bramy domu wynurzyła się jakaś postać.

— Hanka...

Rozpoznawał ją jaknajdokładniej. Poznawał z daleka drogie rysy, twarzyczkę zlekka pobladłą, jasny płaszczyk z futrzanym kołnierzem, który zazwyczaj nosiła.

— Podejść?

Jakaś tajemnicza siła przykuła do miejsca Freda.

Już ósma wieczór. Dokąd to udaje się Hanka? Jeśli podejdzie, narazi się łatwo na szorstką odprawę. Zresztą trudno na ulicy prowadzić poufniejszą rozmowę. Natomiast... Gdyby tak nieznacznie pójść w ślad za nią i przekonać się, dokąd śpieszy. Jeśli Hanka wychodzi o tej porze sama z domu, wyciągnąć ją musiała niezwykle ważna przyczyna. A nuż natrafił Fred na wątek tajemnicy? Hanka ma spotkać się z „tym“, który ją pragnie Fredowi odebrać?

O ile w innym wypadku śledzenie ukochanej byłoby Fredowi wstrętne — teraz nie wahał się chwili...

Jął kroczyć po drugiej stronie ulicy, umyślnie trzymając się trochę w mroku.

Zresztą, ułatwione miał zadanie.

Hanka szła, opuściwszy na dół główkę, zamyślona, nie rozglądając się dokoła. Wydawało się, że jest tak duchem od otoczenia daleko, iż gdyby nawet Fred koło niej

postępował, mogłaby go nie spostrzec.

Tak idzie lunatyczka, lub ktoś, kogo pogrążono w hypnotyczny trans.

Ciekawe? Tu nastąpi spotkanie? Dąży do cukierni?

Lecz rychło poznał, że Hankę oczekuje dalsza droga... Bo doszedłszy do postoju taksówek, zbliżyła się do jednej z nich i do niej wsiadła.

Byle się nie spóźnić!

Fred jednym skokiem dopadł następnego samochodu.

— Za tamtem autem! — szepnął kierowcy. — Płacę podwójnie, tylko niech pan go nie straci z oczu!

Ruszyli z miejsca.

Początkowo na Długiej i Miodowej, gdzie panował ruch mniejszy, łatwe mieli zadanie i taksówka, w której siedział Fred posuwała się bezpośrednio za samochodem, zajętym przez Hankę. Chwilami tak blisko, iż drżał, aby ona obejrzawszy się nie spostrzegła pogoni. To samo na Krakowskiem. Dopiero koło „Bristolu“ rozpoczął się natłok wozów. Teraz lęk ogarniał Freda, że w tych licznych zatorach, zgubi ślad ukochanej.

Na szczęście, wyjątkowo sprawny kierowca, zachęcony dodatkowym zarobkiem, prześlizgiwał się śród aut, tramwajów i dorożek, niczem igła i kiedy z Nowego Światu wypadli w Ujazdowskie Aleje, znów, jak przyklejony, podążał za tamtym samochodem.

Wilcza... Piękna....

Jedzie za miasto? O ósmej wieczór?

Nie jechała za miasto! Samochód raptownie skręcił na prawo, w Koszykową.

Koszykowa?

Jeszcze parę sekund niepewności...

— Niech pan się zatrzyma! — nagle zawołał do kierowcy.

Przodujące auto zwalniało biegu, przystając przed jedną z kamienic, w pobliżu Marszałkowskiej.

Przywarłszy twarzą do szyby, widział obecnie Fred, jak Hanka wysiadła z samochodu, niespokojnie rozejrzała się dokoła, niby obawiając się czegoś czy też wstydząc, poczem śpiesznie wpadła do bramy domu i znikła.

Rzucił banknot szoferowi — i drżąc z podniecenia, aby jej nie stracić z oczu, lub nie zostać zauważony, z kolei wślizgnął się za nią.

Na szczęście, gdy się zakradał, zdążył spostrzec, że wchodziła ona na frontowe schody i zdala mignął mu, dobrze znajomy, jasny, obszyty futerkiem płaszczyk.

W sieni domu nie było nikogo. Sekundę przeczekał, później delikatnie pchnął na dole drzwi, które pomyślnym zbiegiem okoliczności nie zatrzasnęły się za Hanką i zajrzał...

Dobiegł go odgłos kroków, lecz kroki te wnet ucichły... Później posłyszał zgrzyt łańcucha i trzaśnięcie drzwiami...

Tak, najwyraźniej! Pierwsze piętro, na lewo! Tam udała się Hanka! Zaraz sprawdzi, czy jest to niewinna wizyta, czy też ta wizyta posiada głębsze znaczenie.

Prędko przebył dzielące go od tajemniczego mieszkania stopnie — i przystanął w zdumieniu.

Na pierwszym piętrze, na lewo, widniała duża mosiężna tabliczka z napisem — „Maison de modes Helwira“.

Niemożliwe!

Jego Hanka, jego ukochana Hanka, najdroższa, czysta i prawa dziewczyna, udała się do salonu mód, który cieszył się dwuznaczną opinją, o którym opowiadano, że nie jest niczem innem, niżeli ukrytym domem schadzek?

Pomylił się chyba? Nie, nie mógł się pomylić!

Z tej strony właśnie zatrzasnęły się drzwi...

Lecz w takim razie nie wie ona, gdzie się znalazła... Może zamierza obstalować suknię, sądzi, że tam naprawdę istnieje zakład modniarski? Za wszelką cenę, należy Hankę uprzedzić.

Nie namyślając się długo, trawiony nerwowem podnieceniem, zadzwonił...

Rychło uchyliło się wejście do tajemniczego przybytku, a w wąskiej szparze ukazała się twarz służącej, czy też panny sklepowej.

— Pan sobie życzy?

— Przed chwilą tu weszła moja narzeczona! — skłamał czerwieniąc się trochę. — Pragnąłbym z nią parę słów zamienić!

— Nikt do nas nie wchodził!

— Ależ zapewniam! Słyszałem doskonale...

— Myli się pan! Już po ósmej... Nie przyjmujemy nikogo! Salon jest zamknięty! — niegrzecznie prawie zabrzmiał głos służącej.

— Panienko! Ja wejść muszę! — zawołał. — Nie pozwolę... Wiem, o co chodzi...

— Pan nie pozwoli? Wie o co chodzi? — spojrzała nań z ironją. — Mam wrażenie, że upił się pan i najlepiej zrobi,

jeśli pójdzie do domu i się prześpi, zamiast ludzi niepokoić... Inaczej zawołam dozorcę...

Przed nosem zatrzasnęła mu drzwi.

Fred zaklął głośno.

Jak dalej ma postąpić? Jeszcze dobijać się do mieszkania, usiłować wejść siłą, o wszystkiem zawiadomić władze? Cóż powie władzom? Jakie posiada, prócz luźnych opowiadań, na to dowody, że „Helwira“ jest domem schadzek? Jak uzasadni swe żądanie i jak wytłomaczy obawy o Hankę? Właściwie Hanka nie jest jego narzeczoną... Szczególnie, po dzisiejszej scenie... A nuż tam wcale nie bawi... a odgłos zamykanych drzwi dobiegał z wyższych pięter?

Chociaż...

Nagle straszliwe posądzenie, zrodziło się w duszy Freda. Posądzenie tak potworne — iż w pierwszej chwili odpychał je z całej mocy od siebie...

— Boże! Hanka? Hanka „tam“ dobrowolnie?

Jęknął, doznawszy wrażenia, że ktoś go z całej mocy bije maczugą po głowie... Krople potu wystąpiły na czoło, serce zamarło na chwilę...

— Jego wyśniona, umiłowana Hanka!...

Pochylił się, złamany... Powoli, chwiejąc się na nogach, zstępował na dół ze schodów...

Raptem, niczem szaleniec, począł się śmiać:

— Jego Hanka!....

Och, gdybyż wiedział Fred, że w „salonie mód“ bawią niemal jednocześnie dwie najbliższe mu na świecie istoty... Lenka i Hanka...

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Stanisław Antoni Wotowski](#).*

ROZDZIAŁ III.

Lenka odetchnęła z ulgą... Rychło ją opuści przygodny towarzysz.

W pokoju jest nadal ciemno. Nieznajomy dotrzymał słowa. To też Lenka, nie czuje ani strachu, ani wstydu. Wyrzuty sumienia? Daleko jest od nich... W swej tępocie i braku moralnego poczucia nie pojmuje całej ohydy sytuacji, w jakiej się znalazła... Raczej jest zadowolona, że wszystko się skończyło i że z głowy spadną przeklęte weksle...

Jak właściwie wygląda ten nieoczekiwany kochanek? Kto on?

Parokrotnie, przedtem starała mu się przyjrzeć w mroku. Starszy, nieco otyły mężczyzna. Na to była przygotowana. Ale kim jest, jaką posiada socjalną pozycję? Musi być bogaty i pochodzi zapewne z najlepszej sfery, bo zachowuje się, niczem skończony dżentelmen i wyraża w sposób wytworny. Bąknął wprawdzie coś niewyraźnie, gdy wszedłszy do pokoju się przedstawiał, lecz nazwiska, oczywiście nie dosłyszała Lenka. Później usiłował ją wciągnąć w rozmowę, lecz onieśmielona i niewyrobiona towarzysko, odpowiadała tylko półsłówkami...

A potem...

Spoczywając na otomanie, z główką wtuloną w poduszki, z pod opuszczonych rzęs, obserwowała kochanka.

Stał o parę kroków, opodal i niby zastanawiając się nad czemś, umyślnie zwłóczył z odejściem.

— Byle mnie znów nie ciągnął za język! — przemknęła niespokojna myśl. — Doprawdy, nie wiem, jak mam odpowiadać!

Ale nieznajomy widocznie inne żywił zamiary. Postąpił parę kroków w kierunku drzwi.

— Odchodzi bez pożegnania? — zdziwiła się Lenka. — Taki dobrze wychowany człowiek? Ciekawe? Choć może i lepiej!.. Nie zobaczymy się nigdy...

Wtem stała się rzecz straszna.

Nieznajomy, zbliżywszy się do drzwi, zatrzymał się tam na chwilę, niby czegoś poszukując. Rozległ się suchy trzask i snop elektrycznego światła oślepił Lenkę. Zdrada!...

— Jak pan mógł! — zawołała z gniewem. — Co za niedelikatność!... Wyraźnie zastrzegłam sobie...

Nieznajomy spojrzał na nią z uśmiechem.

— Zechce mi pani wybaczyć — rzekł. — Zasłużyłem na jej gniew! Lecz, aby ujrzeć piękną kobietę, popełnia się czasem nietylko niedelikatność, a nawet zbrodnię... Ponad moje siły było pozbawić się widoku tak ślicznej towarzyszki...

Udawał, że Lenki nigdy nie widział, choć przedtem, dzięki pomocy Helmanowej, dobrze ją z ukrycia obejrzał. Wpijał się teraz w „kochankę“ wzrokiem, jakby ją z kimś porównywując, czy odszukując zapomniany obraz w swej pamięci.

— Pani taka śliczna!... — powtórzył.

Policzki Lenki oblał pąs. Niemal z nienawiścią

wpatrywała się w starszego mężczyznę. Nie zawiodły jej obserwacje, poczynione w półmroku. Był gruby, ubrany starannie, łysy, o nalanej twarzy, ozdobionej wyczernionym wąsikiem, a na jednym z palców połyskiwał duży brylant.

Ogarnęła ją złość i obrzydzenie.

— Natychmiast proszę zgasić światło!

— Już gaszę! — odparł uprzejmie, snać zaspokoiwszy swą ciekawość i przekręcił kontakt.

— Co za bezczelność! Co za podstęp! — oburzała się dalej. — Nie spodziewałam się nigdy po panu...

— Ależ właściwie nic się nie stało!

— Jakto, nic! Zobaczył mnie pan...

— Jestem dżentelmenem i nikt się na mojej dyskrecji nie zawiódł! Może pani mi zaufać. Tylko...

— Tylko?

— Pragnąłbym się zapytać...

— Zapytać? — drgnęła.

— Czy?... czy?... — wymówił powoli i nagle urwał.

Wyczuć się dawało, że na wargach zawisły mu jakieś słowa, że pragnąłby towarzyszkę wybadać, lecz waha się, aby jej nie urazić śmiałym frazesem.

— Chce pan... — wyrzuciła z siebie nerwowo, zgadując o co mu chodzi i lękając się, że usiłuje teraz ustalić jej tożsamość. — Chce pan się dowiedzieć, czyśmy się przedtem nigdy nie spotkali? Zapewniam, że nigdy! Jestem przejazdem w stolicy... Warszawę odwiedzam rzadko... — kłamała.

Gdyby w pokoju z powrotem nie zapanował mrok, spostrzegłaby prawdopodobnie uśmiech, jaki przebiegł po

twarzy nieznajomego. Uśmiech nieco drwiący, złączony z odrobiną litości.

— Napewno ona!... — stwierdził w duchu. — Napewno... Próżno dalej nalegać i tak nic nie powie.

Tymczasem z ust Lenki, zachęconej milczeniem towarzysza, sypały się nowe łgarstwa.

— Wpadłam do Warszawy na parę dni i dziś jeszcze wieczór odjeżdżam... Właściwie zamieszkuję na Kresach... Dopiero za parę miesięcy znowu stolicę odwiedzę...

— Ach... tak... — mruknął z niejaką ironją. — Zamieszkuje pani na Kresach... za parę miesięcy dopiero pani powróci... Szkoda, wielka szkoda...

— Czemu? — gniew zdążył już opuścić Lenkę i mniemając się całkowicie bezpieczna, uprzejmiej przemawiała do nieznajomego. — Czemu pan żałuje?

— Bo... bo... — wyrzekł, a szczere, ciepłe nuty zabrzmiały w głosie — bo... istotnie podoba mi się pani. Proszę nie uważać moich słów za banalny komplement, lub zwykłą blagę... Nie jestem młodzieniaszkiem i nie lubię ciskać na wiatr frazesów... Niewiedzieć jakie przeczucie mówiło mi, kiedym wchodził do pokoju. — Obecnie i on kłamał, nie chcąc się przyznać, że Lenkę widział poprzednio — że napotkam wspaniałą kobietę. Pragnąc potwierdzić te przeczucia, przekręciłem kontakt.. Oto przyczyna mojej niedyskrecji... Lecz nie mogłem się powstrzymać, aby nie podziwiać pani w pełnem świetle, aby nie podziwiać każdego szczegółu jej niezwykłej urody, aby ten obraz nie wyrył się na długo w mej pamięci.. Pani jest doprawdy piękna... Pani jest moim typem i mógłbym

łatwo w niej się zakochać... Jestem samotny, niezależny od nikogo, zamożny i gdyby pani zechciała, otoczyłbym ją tym zbytkiem, którego prawdopodobnie jej w życiu brak i który to brak skłania ją do odwiedzin „salonów“ naszej wspólnej przyjaciółki Helmanowej... Musiałaby tylko pani być ze mną szczersza i więcej o sobie opowiedzieć...

— Nie... nie... — zawołała przestraszona, iż nadal nastaje na uchylenie rąbka „incognita“, choć bardzo jej pochlebiały te wyznania. — Nie dziś... nie teraz... Ja przecież wyjeżdżam... Może później... za parę miesięcy...

Pojął, że próżny będzie trud jeszcze nalegać.

— Skoro pani nie chce!... — wyrzekł. — Raz już oświadczyłem... szkoda! Nikogo nie można zmuszać do szczerości... Nadal nie będę natrętny... Pozwoli pani, że ją pożegnam...

— Pan odchodzi? — zawołała z ulgą.

— Tak! Gdyby zaś pani chciała mnie widzieć, proszę zawiadomić Helmanową...

— Nie wiem... Jak wrócę...

— Więc żegnam...

Pociemku odszukał rączkę Lenki i jął ją okrywać długiemi pocałunkami. Nie broniła mu tej niewinnej pieszczoty, a w pewnym momencie, jakgdyby dopiero pojąwszy, że zdobyła bogatego adoratora, pocałunki odwzajemniała uściskiem. W swej apatji jednak i nieśmiałości, nie umiała się zdecydować na poufniejszą rozmowę...

Dopiero, gdy ją opuścił, żal ścisnął serce lekkomyślnego kobieciątka. A nuż poczuje się urażony, nie otrzymawszy

odpowiedzi na swe wyznania? Samochcąc przepuściła sposobność uczynienia „karjery“. Bo Lenka, postawiwszy pierwszy krok na pochyłej drodze, nie wahała się już postawić i następny! Jest równie stary, jak mąż. Ale dobrze wychowany, wytworny. Otoczyłby dostatkiem! Czyż inaczej postępują inne damy? Bogaty kochanek! Tylko...

Pewne spostrzeżenie nagle zaniepokoiło Lenkę. Czemuż jej się tak przyglądał? Czemu chciał o coś zapytać i raptownie urwał? Czyżby ją znał? Niemożebne! Toć Lenka nigdzie nie bywa. Chyba z widzenia, z ulicy. Lecz w takim razie, może najwyżej się domyślać, że nie pochodzi z Kresów, a jest warszawianką, lecz pozatem nie wiele dojdzie... Może i lepiej uczyniła, nie dając się wyciągnąć na zwierzenia... Choć bogaty, ale w każdym razie nieznajomy człowiek... A nuż niepewny typ, który dorobił się pieniędzy, licho wie na czem... i skompromitowałby ją jeszcze...

Postara się wybadać Helmanową.

To też, gdy niezadługo opuszczała salon mód „Helwiry“, zagadnęła nieśmiało, nie podnosząc oczu na szefową:

— Kim właściwie był ten pan?

Właścicielka „Helwiry“ uczyniła znaczącą minę.

— Miljoner! Dżentelmen w każdym calu!... Stary, ale miły i niezwykle hojny... Chodzi pani o nazwisko?

— No... tak...

— Znam je, ale mi powiedzieć nie wolno! Również bliższych szczegółów nie wolno mi udzielić! Taką jest moja ogólna zasada! Całkowita dyskrecja! Tyczy się to jednakowo osób klijentek i klijentów... Ogniem mógłby mnie ktoś przypiekać, a nie dowiedziałby się nigdy nic!...

Naprzykład pani nazwiska...

— Hm... rozumiem... Ale to przyzwoity człowiek?

— Przyzwoity? Z najwyższej sfery...

Lenka stawała się coraz dumniejsza. Nie śmiała jednak swym triumfem popisywać się przed Helmanową.

— Widzi pani, że pobyt w moim domu nie jest taki straszny... Sądzę, że nieraz zechce jeszcze pani mnie odwiedzić i o ile zastosuje się do moich wskazówek, wszystko jaknajlepiej się ułoży... Oczywiście należy nieco zmienić tryb życia... Lepiej się ubierać, więcej pokazywać publicznie.

— Kiedy... — usiłowała przerwać te nauki Lenka.

— Szczegóły obmyślę! Niechaj pani o to się nie troszczy.... Zapoznam ją z jedną z moich przyjaciółek, i aby zachować pozory przed mężem, razem będziecie odwiedzały teatry, cukiernie... Przedewszystkem cukiernie... Pani ta, bardzo wytworna dama, nauczy, jak się trzeba ubrać, chcąc zwrócić na siebie uwagę... Jeżeli zaś o stroje chodzi, kredytem nadal służę. Mam nadzieję, że jutro, pojutrze zatelefonuje pani do mnie...

Lenka bąknęła coś nieokreślonego w odpowiedzi, co mogło uchodzić za zgodę na propozycje Helmanowej i z zamętem w głowie a jadem głęboko wsączonym w duszę, opuściła gościnne progi „Helwiry“...

W woreczku ponętnie szeleściły nowe banknoty. Nie troszczyła się, lekkomyślna, nawet o to, że groźne weksle nadal nie były w jej posiadaniu.

— — — — — — — — — — — — — — —

Kiedy Lenka opuściła Helmanową — ta szybko spojrzała na zegarek.

— Już po siódmej — mruknęła — Wyprawię Tolka... Wszak ona przyjdzie o ósmej...

Na wspomnienie o nowych bliskich odwiedzinach, dziwny uśmiech przebiegł po twarzy „szefowej“. Ni to uśmiech zadowolenia, że spełnione zostają jakieś głębsze zamiary, ni to uśmiech złączony z odrobiną niepokoju. Czyż właścicielka „Helwiry“ lękała się nieco, oczekującej ją rozmowy, przewidując, że ta „rozmowa“ nie wypadnie tak, jakby sobie tego życzyła?

Helmanowa przeszła szybko przez „pracownię“ do swego „prywatnego“ pokoju. Była to spora sypialnia, urządzona z całym przepychem, jaki tylko wymarzyć można. Ściany obciągnięto jedwabiem, a podłogę pokrywały skóry polarnych niedźwiedzi. Niskie łoże, pod muślinowym baldachimem, tonęło śród powodzi brabanckich koronek, a wielka tualeta uginała się pod ciężarem złoconych flakonów i puzderek. W głębi, niedbale rozparty w fotelu, siedział jakiś elegancki młody człowiek, który na widok Helmanowej, uniósł się nieco ze swego miejsca.

— Nareszcie jesteś, Wiro... — wymówił, starając się nadać swemu głosowi możliwie najczulsze brzmienie.

— Byłam zajęta... — odparła.

— Nowa klientka?

— Tak, nowa... Głupia gęś, ale przystojna i bez serca... Takie najlepiej lubią mężczyźni... Zrobi karjerę...

Po tem niezbyt pochlebnem określeniu Lenki „szefowa“, snać starając się skrócić krępującą ją wizytę, rzuciła obcesowo:

— Co cię sprowadza? Wszak nie miałeś przyjść dzisiaj?

— At, głupstwo... Drobiazg...

— Pewnie znowu pieniądze?...

— Widzisz Wiro...

Pan Tolo urwał, a na jego przystojnej, choć nieco bladej, noszącej cechy zepsucia twarzy, odbiło się wahanie. Był to może trzydziestoletni szczupły młodzian, ubrany z przesadnym szykiem. Wcięta mocno marynarka uwydatniała zgrabną figurę, bajecznie kolorowy krawat świadczył o zamiłowaniu do jaskrawych barw, z kieszonki wysuwała się kokieteryjnie jedwabna chusteczka, a przegub lewej dłoni zdobiła złota bransoletka. Aczkolwiek od paru miesięcy spełniał szczytne obowiązki „przyjaciela“ Helmanowej i pieszczotliwie wymawiał jej imię, nie wiedział, jaką względem „najdroższej“ stosować taktykę.

— Bo... — bąknął.

Naprawdę, w kłopotliwej teraz znalazł się sytuacji pan Tolo Gozdawa-Gozdecki — zwący się tak sam szumnie na swych biletach wizytowych — a istotnie wedle paszportu Antek Gwóźdź. Z zawodu właściwie „piccolak“, liznąwszy trochę ogłady po pierwszorzędnych restauracjach, awansował szybko na „fortancerza“ a później „artystę filmowego“, statystując w jakimś drugorzędnym obrazie. Głównem jednak źródłem jego dochodów było naciąganie młodszych lub starszych niewiast na „pożyczki“. To też, gdy na którymś z dancingów poznał Helmanową i

przyczepił się do niej, wydawało mu się, że uczyni świetną karjerę i opływać będzie we wszelkie dostatki. Lecz właścicielka „Helwiry“ mimo swej pięćdziesiątki, pozwalająca sobie na „kaprysy“, posiadała charakter męski i niczem Katarzyna II, swych kochanków traktowała po męsku. Owszem, pomagała panu Tolowi, ale z ołówkiem w ręku i nie mógł wynaleźć sposobu, aby szerzej otworzyła swą kasę. Komorne, garniturek, drobny prezent, od czasu do czasu kilkadziesiąt złotych — poza tem nic. O ile więc świetny Tolo chciał z lubej wyciągnąć jakąś sumkę, dobrze musiał się napocić i nałamać głowę. Znosił to wszystko pokornie, nie śmiąc Helmanowej postawić się „sztorcem“ i mając na nią na dalszą metę zamiary... Tymczasem wpadł do „kochanej Wiry“ niespodziewanie, postanowiwszy za wszelką cenę „babę nawalić“, bo był bez gronia w kieszeni, a wieczór zapowiadał się wcale interesująco. Należało błysnąć forsą przed kolegami i pokazać, że znakomicie mu się powodzi, później zaś oczekiwała go Mary. Delikatnie tedy przystępował do rzeczy, stękał i bąkał, obawiając się napotkać odmowę.

Helmanowa, zniecierpliwiona, nagliła:

— Mów prędko! Pieniądze? Ile?

— Sto złotych! — wypalił z determinacją. — Dług... Męczący dług... Nie ośmieliłbym się nigdy inaczej cię niepokoić, Wiro...

— Sto złotych!

— Tak... Bo... Zrozum...

— Dobrze! Zaraz dam...

Tolo otworzył szeroko ze zdumienia oczy. Wymieniwszy

powyższą sumę, był przygotowany, że Helmanowa swym zwyczajem, wypomni mu poprzednio wyłudzone kwoty, wypomni niedawno zapłacone jedwabne koszule i wreszcie po długich przygadywaniach, zgodzi się dać najwyżej połowę żądanej kwoty. Do takiej hojności nie przywykł.

— Nie wiem, jak mam dziękować! — zawołał radośnie. — Ratujesz mnie z wyjątkowych tarapatów.

Ale znać było, że Helmanową podziękowania kochanka mało obchodzą i że jeśli zgodziła się tak rychło na „pożyczkę“, to aby pozbyć się go najprędzej. Podeszła do tualety i, otworzywszy jedną z szuflad, wyjęła stamtąd niebieski banknot.

— Proszę!...

Tolo pochwycił pośpiesznie papierek, jakby obawiając się, że Helmanowa może się jeszcze rozmyślić.

— Jakaś ty dobra, Wiro!... — począł mamrotać. — Wierz mi, nie zapomnę nigdy.

Właścicielka „Helwiry“ przerwała potok czułości:

— Idź już! — rzekła. — Za chwilę ma mnie ktoś odwiedzić...

Podobnego zlecenia nie należało Tolowi dwa razy powtarzać. I on chciał od swej „lubej“ wydostać się szybko. To też natychmiast jął ją żegnać, a z ust jęły sypać się bezczelne łgarstwa:

— Rozumiem... Rozumiem... Jeszcze praca, zamęczysz się, kochanie... Z prawdziwym żalem odchodzę, tak chętnie pozostałbym tu... pogadałbym z tobą, ucałowałbym moją Wirę... Ha trudno! nie mogę przeszkadzać... Jeśli pozwolisz, jutro zatelefonuję...

— Owszem, zatelefonuj...

Tolo, bogatszy o setkę, w świetnym humorze znalazł się za drzwiami. Był to jednak młodzieniec, który życia nie brał lekko i lubił zastanowić się nad wszystkiem.

— Coś w tem jest! — mruknął do siebie, przystając przed domem. — Tak łatwo wywaliła forsę?! Żeby tylko mnie się pozbyć? Była zamyślona? Niespokojna? Kogóż to wyczekuje „najdroższa“ Wiruchna? Warto sprawdzić...

Poza innemi cennemi zaletami, — Tolo miał jeszcze i tę zaletę, że lubił szpiegować kochankę. Bynajmniej nie przez ciekawość, lub dla samego zamiłowania i sportu. Po pierwsze, chciał przeniknąć w ten sposób w jej „interesy“, które kryła przed nim starannie i mieć „Wiruchnę“ nieco w ręku, po drugie, wiedząc, że bywały u niej różne damulki, którym bądź co bądź zależało na opinji, z gustem ustaliłby ich tożsamość, aby później z tego ciągnąć zyski. Nie pogardziłby wcale zręcznym szantażykiem, a kto wie, może i Helmanowa musiałaby za milczenie dodatkowo zapłacić. Lecz dotychczas nic wywąchać nie mógł, a zbyt nachalne śledzenie, zwróciłoby uwagę szefowej.

Teraz zdarzyła się niezwykła gratka. Nie tylko właścicielka „Helwiry“ oczekiwała na kogoś, na kim jej musiało bardzo zależeć, bo była wyraźnie podniecona i zdenerwowana, ale ten „ktoś“ — zapewne niewiasta — miał przybyć niezadługo, może za parę minut. Podobnej okazji nie wolno przepuścić.

Ludzie przedsiębiorczy decydują się szybko, Tolo nie wahał się chwili.

Zajrzawszy do bramy i widząc, że nikogo w niej niema,

wślizgnął się z powrotem do domu. Później cicho, jak kot, pobiegł na palcach po schodach i zatrzymał się o piętro wyżej, nad mieszkaniem Helmanowej. Kamienica była mało ruchliwa, zresztą dozorca go znał i jego tam obecność nie mogła wywołać niczyich podejrzeń. A punkt obserwacyjny zdobył pierwszorzędny.

Wkrótce wysiłki sprytnego Tola zostały uwieńczone całkowitem powodzeniem.

Posłyszał kobiece kroki, a wychyliwszy się nieco przez poręcz, spostrzegł jakąś osóbkę — z pozoru skromną panienkę, która zadzwoniła do mieszkania Helmanowej i rychło tam znikła.

— Któż to taki?

Że osóbka wyglądała więcej niż skromnie, nie zdziwiło Tolka. Największe elegantki, odwiedzające salony „Helwiry“, ubierały się dla niepoznaki niepozornie. Zadziwiła go natomiast obecność młodzieńca, który zaczerwieniony i zdenerwowany, wpadł tuż prawie za ową panienką, natrętnie dobijał się do mieszkania Helmanowej i został odprawiony z kwitkiem.

— Zazdrosny narzeczony? Skąd się wziął? Co to wszystko znaczy? Wiruchna wdała się w jakąś niebezpieczną historję?

Zaintrygowany, czekał.

Istotnie, po upływie może pół godziny, znów uchyliły się drzwi, a z nich wyślizgnęła się ta sama osóbka. Twarz miała głęboko ukrytą w kołnierzu, lecz zdala dobiegały ciche łkania.

— Płacze? Tak silnie w swych łapach ją trzyma

Helmanowa? Więc to nie o skórę szefowej chodzi, a odwrotnie ona chce do czegoś zmusić panienkę? Szantażyk? Bo kobieta, która tu przychodzi robić „interesy“ napewno nie odejdzie zabeczana... Hm... Coraz ciekawsze...

Tolek zbiegł po schodach w ślad za nieznajomą. Sądził, iż na dole natknie się na młodzieńca, który tak gorączkowo gonił za panienką. Ale go nie było. Natomiast spostrzegł, że nieznajoma wsiadła do taksówki.

— Pojedziemy za nią...

I jak parę godzin temu Fred, jadąc za Hanką, drżał z niepokoju, aby nie stracić z oczu wyprzedzającego auta — tak samo Tolek, choć powodowany zupełnie innemi intencjami, wpijał się teraz wzrokiem w samochód, który unosił intrygującą go osóbkę.

Lecz wiodło mu się do końca.

Prawie tuż za Hanką przybył na Długą i zdołał zauważyć, dokąd się ona udaje.

Później na liście lokatorów przeczytał: **„Hanna Gliniewska, studentka“.** Sprawiło to Tolkowi rozczarowanie znaczne. Studentka? Zamieszkuje w oficynie, w dwóch pokoikach! Ważna persona... Śledząc nieznajomą sądził, że natknie się na córkę bogatych rodziców, kto wie, a nuż hrabiankę...

A co zarobić można od studentki? Lecz w takim razie, czem wytłomaczyć zdenerwowanie i niepokój Helmanowej... Wiruchna obawia się studentki, a ta gdy od niej wychodzi — płacze? Pocóż się włóczy po domach schadzek? Na „taką“ nie wygląda? I ten smarkacz, który natrętnie dobijał się do mieszkania?

Tolek sam nie wiedział, czy stracił czas na śledzenie napróżno, czy też z tych dociekań wypłyną korzyści...

Et, chyba wypłyną?...

Nieomylny instynkt mówił mu, że natknął się na ślad jakiejś skomplikowanej intrygi, którą warto będzie rozwikłać.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stanisław Antoni Wotowski.*

ROZDZIAŁ IV.

Bagno stolicy.

Fred, wypadłszy z domu przy ulicy Koszykowej, biegł przed siebie na oślep, nieprzytomny... Długo może biegałby w ten sposób po ulicach i raz jeszcze zabrnąłby nad brzeg Wisły, aby chłodnym wiatrom zwierzyć się ze swego smutku i rozpaczy, gdyby go nie spotkała niespodziewana przeszkoda...

Bo oto, kiedy tak pędził, nagle mocna dłoń pochwyciła Freda silnie za ramię, a młody dźwięczny głos wesoło zawołał tuż nad uchem:

— Dokąd to, kolego? Urządzasz istne wyścigi! Pozabijasz przechodniów!

Fred, nieco oprzytomniawszy, przystanął. Ujrzał przed sobą roześmianą twarz Janka Bartmańskiego, towarzysza z ławy szkolnej.

— Spieszę się... — mruknął,

— Spieszysz się? Możesz chwilę zaczekać! Tyle czasu nie widzieliśmy się!

— Kiedy...

— Wcale cię to nie cieszy, żeśmy się spotkali?

Fred pojął, że w rzeczy samej jest niegrzeczny dla przyjaciela i postarał się ukryć swe wzburzenie.

— Ależ naturalnie... — wybąknął uprzejmym już tonem.

— Skoro tak, to nie puszczę cię prędko! Musisz opowiedzieć, co się u ciebie dzieje...

Janek Bartmański był o parę lat starszy od Freda. Znali się od dzieci, zamieszkując w jednym domu i później wspólnie uczęszczając do szkół. Po ukończeniu gimnazjum, Bartmański studjował zagranicą i powróciwszy do kraju, od roku już zajął samodzielne stanowisko w jakiemś handlowem przedsiębiorstwie. Zamożniejszy od Freda lubił bawić się i nie gardził ani wesołem towarzystwem ani kieliszkiem — podczas gdy poważny z natury i wiecznie zapracowany Fred za podobnemi rozrywkami nie przepadał i nie mógł sobie na nie pozwolić. Choć więc rozłączyło ich życie, ilekroć się zetknęli, w wspomnieniach odżywały dawne dzieje, a przy tej sposobności Bartmański usiłował na lumpę wyciągnąć przyjaciela. Przeważnie bezskutecznie i spotkanie kończyło się tylko dłuższą pogawędką. Nie dawał jednak za wygraną i twierdził, że kiedyś rozrusza „sensata“, a filuterne spojrzenia, jakie rzucał i obecnie w jego kierunku, świadczyły, że nie poniechał tych zamiarów.

— Pędzisz pewnie do pracy? — mówił dalej. — Praca nie zając, nie ucieknie... Napewno możesz mi poświęcić godzinkę... No, pół godzinki... Bądźże druhem... Zajdźmy do kawiarni...

— Do kawiarni?

Fred teraz dopiero oprzytomniał i szeroko rozwartemi ze zdziwienia oczami spoglądał na dawnego towarzysza.

— Do kawiarni? Dobrze! — Tę niespodziewaną zgodę wyrzucił z siebie tak nagle, że aż zdumiał się Bartmański, spodziewając się dłuższego oporu. Lecz uradowany, nic nie

dał poznać po sobie.

— Nareszcie... Zacny z ciebie chłop... Idziemy...

Ująwszy przyjaciela pod ramię, raźno ruszył naprzód. Fred dawał się ciągnąć bezwolnie, a w myślach rozważał, czy lepiej się nie cofnąć... Zgodził się towarzyszyć koledze pod wpływem nagłego porywu gniewu, jaki go ogarnął. Dalej miał biegać po ulicach Warszawy, rozpaczać, szaleć za dziewczyną, która tego nie warta? Tfu, do licha... On, człowiek mocny, musi opanować się, otrząsnąć, wyrwać z serca tę miłość... Z Bartmańskim łatwiej zapomni... Nie... Nie cofnie się już... Postara się ogłuszyć, upić weselem i gwarem wielkiego miasta...

Tymczasem Bartmański, jakby obawiając się, że Fred jeszcze się rozmyśli, plotł bez przestanku to i owo. I o wspomnieniach dzieciństwa i o obecnych swych przygodach. Wreszcie, gdy znaleźli się przed wejściem jednej z modnych kawiarni, pchnął go lekko do środka.

— Idź pierwszy, bo zwiejesz...

Ale Fred nie zamierzał „wiać“... Rozebrawszy się w szatni, zajął miejsce przy stoliku, a kiedy Bartmański obstalował czarną kawę i koniak, wychylił kieliszek złocistego trunku do dna.

— No... no — uśmiechnął się kusiciel — czynisz postępy...

— Ot, dziś z gustem piję...

— A może, odludku, nauczyłeś się odwiedzać lokale publiczne?.. Choć nigdy cię nie spotkałem...

— Przysięgam... Po raz pierwszy jestem w wielkiej kawiarni.

— Tem bardziej chwalebne, żeś dla mnie uczynił wyjątek... Napijmy się wobec tego po koniaczku...

Fred wypił i następną kolejkę, poczem roztargnionym wzrokiem powiódł po natłoczonej strojnym tłumem wielkiej sali. Pełno tam było szykownych kobiet o nieco wyzywającym wyglądzie, mężczyzn, ubranych nienagannie, z minami angielskich lordów.

Bartmański, który spojrzenie Freda przypisał ciekawości, jął usłużnie objaśniać:

— Interesują cię sąsiedzi... Słusznie.. Kawiarnia jest nieocenionym terenem dla obserwacyj... Ja lubię się bawić, ale jednocześnie lubię czynić spostrzeżenia... A nigdzie bardziej, niźli tutaj, nie wypływa na wierzch zakulisowa strona życia stolicy...

— Hm... no... tak... — bąknął Fred, aby coś odpowiedzieć.

— Patrzysz na te wytworne panie i sądzisz, że to są niedostępne damy?.. Spozierasz na panów, mniemając, iż to hrabiowie i dygnitarze, lub co najmniej dyrektorzy banków... Tymczasem... W większości masz tu przed sobą kokoty, hochstaplerów, niebieskich ptaków. Kawiarnia jest dżunglą, w której żerują, łapią naiwnych, szukają „frajera“... Kobiety, aby móc się sprzedać, lub go naciągnąć, grając na zmysłach... Mężczyźni, aby zawlec ofiarę do domu gry, upić i wykorzystać jej nieprzytomność, ostatecznie wyłudzić drobną pożyczkę... Pomiędzy temi paniami, a panami zachodzi jedna różnica... Kobiety „nabierają“ tylko mężczyzn — mężczyźni mężczyzn i kobiety... Bo nie wahają się oni, służąc damulkom pomocą,

ciągnąć później zyski z nierządu... Nie świat to, który tu widzisz, a półświatek...

— Ohydne! — mruknął przez zęby Korski.

— Ohydne? Niewątpliwie... Tem więcej, że z tej całej bandy, zawodowe kokoty są jeszcze najuczciwsze...

— Więc te panie?

— Przeważnie, tak zwane „przyzwoite kobiety“...

— Niemożliwe! Po tem coś powiedział?

— Powojenne zepsucie i bieda, a właściwie wygórowane wymagania w strojach zrobiły swoje. Kiedy zarobki męża nie wystarczają, kobieciątka bez żadnych zasad moralnych i skrupułów radzą sobie, jak mogą — byle na świecidełka i zachcianki starczyło. Oczywiście, wszystko z bajecznem zachowaniem pozorów, pod znakomitą, że się tak wyrażę pokrywką... Och, jakże obraziłaby się podobna laleczka, gdyby ją nazwano kokotą... Ona kokotą? Ależ nigdy... Ona może mieć tylko finansowe tarapaty, lub długi, z których ją wyratuje przygodny przyjaciel, za co przecież jakoś musi mu się zrewanżować... Ona nierządnicą? Przepraszam, ona jest uczciwą mężatką... Chodzi do kawiarni, bo pragnie się rozerwać... Coś tam czasem się zdarzy, ale przecież ma męża... A ci mężowie... Bardziej zepsuci i zgangrenowani, patrzą przez palce na wybryki swych połowic, zadowoleni iż szykowna żona nic ich nie kosztuje... Inni zapracowani i życiowo naiwni, odgrywają rolę przysłowiowego małżonka z noweli Maupassanta, który zachwycał się zabiegliwością swej pani, znoszącej do domu cenne futra i klejnoty, rzekomo kupowane okazyjnie za grosze... O, bo taka laleczka jest bajecznie przebiegła... Niechaj przypadkiem w

kawiarni, w towarzystwie męskiem napotka ją pan mąż... Wnet mu się wyłże... Umówiłam się z przyjaciółką, nie przyszła... Chciałam zaczekać... Nie było miejsca, ten pan był na tyle uprzejmy, że zaofiarował mi je przy swoim stoliku i ochronił od nieprzyjemnych zaczepek gburów... Podziękuj mu, kochanie... I małżonek dziękuje... Zresztą, te damy potrafią się urządzić inaczej... Od czegóż są pośredniczki i domy schadzek...

— Domy schadzek?! — jakimś głuchym głosem powtórzył Fred i machinalnie wypił nowy kieliszek.

— Oczywiście... Nie są one na tyle naiwne, aby często po kawiarniach zawierać znajomości... Jedno, drugie spojrzenie wystarczy... Resztę podejmują się załatwić różne właścicielki dwuznacznych firm i pensjonatów...

Palce Freda wpijały się coraz bardziej kurczowo w blat marmurowego stolika, a twarz stawała się czerwieńsza. Lecz Bartmański, nie widząc tej nagłej zmiany, rad z wykładu, perorował dalej.

— Wyjaśniłem ci, jak umiałem wszystkie tajemnice naszej Warszawki... Nie przoduje ona w zepsuciu, bo w innych stolicach to samo się dzieje w znacznie mocniejszym stopniu... Bierz Paryż, Wiedeń, Bukareszt, nie mówiąc już o słynnym z rozpusty Berlinie, gdzie za czasów największej biedy, żony hofratów, niemal jawnie sprzedawały swe córki... Każde wielkie miasto ma swe bagno... Lubię w nie czasem się zanurzyć... Zanurzę się, ale żadna z takich bezdusznych kukieł na dłużej nie przykuje mego serca... Zaręczam... O, bo są leszcze inne kobiety... Szlachetne, prawe, uczciwe, dla których praca i domowe

ognisko nie przestały być pustem dźwiękiem...

— Wszystkie baby jednego djabła warte! — nie wiedzieć kiedy gwałtownie wyrwało się Fredowi.

Bartmański zdumiony spojrzał na przyjaciela. Usta Freda krzywił grymas niesmaku, policzki płonęły, oczy błyszczały nienaturalnie. Zaczynał się nieco domyślać.

— Czyżby cię spotkał zawód miłosny? — zapytał cicho.

Korski przygryzł wargi i nie dał natychmiast odpowiedzi. Jak każda natura mocna, nie lubił się wywnętrzać, dzielić się z innemi swym bólem. Wolał go w sobie przetrawić. Lecz obecnie... Nerwowe podniecenie i koniak uczyniły swoje... I te napomknienia o domach schadzek... Jeden Bartmański mógł go zrozumieć i mu doradzić...

— Tak, Janku — wymówił z trudem. — Przeżyłem dziś wielką przykrość... Więcej, niż przykrość. Aby o niej choć na chwilę zapomnieć, przyszedłem tu z tobą, do kawiarni...

Bartmański nie tylko szczerze lubił Freda, ale miał i dobre serce. W lot pojął, iż to o rzeczy poważne chodzi.

— Nie umiem nalegać! — wyrzekł z współczuciem w głosie. — Ani nie chcę się wdzierać, nieproszony, w twoje tajemnice... Lecz, jeśli mógłbym ci być pomocny...

Korskiemu najciężej tylko było się zdecydować na pierwsze słowa. Teraz postanowił opowiedzieć wszystko.

— Może nie posłyszałbyś z moich ust tego wyznania — wyrzucił z siebie nerwowo — gdyby nie twoje opowieści o tajemnicach Warszawki... Niestety, i ja się zetknąłem z jedną z podobnych „tajemnic...“

— Ty?

— Tak... Chwilami porywa mię pasja, a chwilami mam

wrażenie, że serce pęknie z żalu...

— Ależ, Fredzie — dziwił się Bartmański coraz bardziej — zawsześ był taki stateczny, trzeźwo patrzący na życie... Omotała się lalka?

— Ona nie była lalką! — z rozpaczą zawołał. — O to chodzi... Rozumna, przyzwoita dziewczyna na pozór... A później...

— Później? Jeśli chcesz mi opowiadać, to opowiadaj od początku...

— Właśnie zamierzałem... Mniej więcej miesiąc temu zawarłem przypadkowo znajomość z pewną panną... Oczywiście jej nazwiska nie wymienię... Zamieszkiwała wspólnie z ciotką, pędząc życie więcej, niźli skromne... Poza nauką i książkami nic ją nie obchodziło... Była najszczęśliwsza, kiedy mogła siedzieć w domu i rozprawiać o filozofji i literaturze.... Wyobraź sobie ja... tak, ja musiałem ją wyciągać do kina, lub cukierni... Wydawała się zgoła odmienna od niewiast współczesnych, mało obchodziły ją zabawy i stroje... Słowem kobieta pracy, idealny towarzysz, wymarzona żona...

— I ona?.. — zagadnął zaintrygowany Bartmański.

— Zaczekaj... Wnet wszystkiego się dowiesz... Wyznam ci szczerze, że zakochałem się w niej, niczem smarkacz... Tem mocniej, że po raz pierwszy w życiu... Choć nie powiedziała mi tego wyraźnie, wydawało mi się, że nie jestem jej obojętny... Niestety... Ze zdziwieniem zauważyłem od tygodnia, iż zmieniła się nie do poznania... Zazwyczaj wesoła, nagle stała się zamyślona, smutna... Nie śmiałem nalegać, lecz dziś, kilka godzin temu,

zdecydowałem się wyjaśnić sytuację...

— Wyjaśniłeś?

— Rozegrała się pomiędzy nami więcej niźli dziwna scena... Spostrzegłem u niej na stole książkę, traktującą o samobójstwie, jąłem prosić, aby mi wytłomaczyła powód swego przygnębienia... Nie odrzekła na to ani słówka, lecz nagle jej ramiona oplotły moją szyję... A później równie niespodzianie odepchnęła od siebie i z gniewem kazała odejść...

— Histeryczka? Nic nie rozumiem... Lecz cóż to ma wspólnego z owym brudem życia, o jakim wspominałeś?

— Jeszcze nie skończyłem... Jak oszalały wypadłem z jej domu i długo błąkałem się po ulicach... Wreszcie postanowiłem powrócić, aby rozmówić się z nią raz jeszcze...

— Słusznie...

— Gdym zbliżał się do domu, w którym mieszka, spostrzegłem, iż wychodzi z bramy... Zazdrość targnęła mem sercem i choć się jeszcze tego wstydzę, postanowiłem ją śledzić... Wsiadła w taksówkę, wskoczyłem do następnej... I wiesz, dokąd się udała?

— Dokąd? — Bartmański uważnie chwytał każde słówko Freda.

— Do Helmanowej! — krzyknął ten niemal głośno z rozpaczą. — Do Helmanowej... „Salon mód Helwira“... Rozumiesz, co to znaczy?...

Bartmański aż podskoczył na krześle,

— Do tej przeklętej rajfurki? Żartujesz chyba... Skromna, uczciwa panna?...

— I ja przez chwilę sądziłem, że oszaleję!... Lecz nie może być najlżejszej wątpliwości... Poszła do niej dobrowolnie, poprzednio umyślnie zerwawszy ze mną... Boże, jak ja cierpię! Ot, masz prawdziwy brud życia... Spotkałeś mnie właśnie, gdym stamtąd złamany powracał... Nie... to okropne...

Zaległo milczenie...

Podczas gdy Fred ciężko wsparł głowę na ręce, aby skryć kręcące się w jego oczach łzy, Bartmański wiódł z roztargnieniem wzrokiem po sali, a palce odruchowo błądziły po stoliku. Znać było, że nie tylko współczuje przyjacielowi, ale zastanowiła go ta cała dziwna historja.

— Nadzwyczajne! — mruknął wreszcie. — Jesteś niedoświadczony, ale nie mogłeś się tak dalece pomylić, aby sprytną kurtyzanę przyjąć za skromną panienkę. Pozatem jej tryb życia i ta rozpacz, kiedy się rozstawała z tobą... Z drugiej zaś strony... Studentka i dom schadzek?.. Skąd ona tam znalazła drogę?.. Nic nie rozumiem...

— Ja mniej jeszcze! — szepnął Fred zduszonym głosem.

— Czekaj! — zawołał nagle Bartmański, jakby go nagle uderzyła pewna myśl. — Czy ty wiesz wszystko o Helmanowej? Czy wiesz w jaki sposób chwyta w swe sieci ofiary?

— Chwyta ofiary?

— Tak... Miałem szczęście być kiedyś w salonach tej damy i wiele mi opowiadano... Ohydna baba i doprawdy się dziwię, że jej wszystko dotychczas uchodzi na sucho. Jeśli pragnie kogoś omotać, to oplątuje naprzód finansowo... Pcha w niewyraźne kombinacje, a później szantażuje...

Albo uczynisz, co zechcę, albo będziesz skompromitowana na zawsze...

— Och, z jaką chęcią ukręciłbym szyję tej megerze! — z nienawiścią zabłysły oczy Freda.

— Otóż jedyne przypuszczenie, jakie mi się nasuwa — dalej rozważał Bartmański — jest to, iż twoja znajoma, zapewne naiwna dziewczyna, w niewytłomaczony sposób dostała się w szpony rajfurki i daremnie pragnie się z nich uwolnić... Niezwykle ambitna, wstydzi się, że w podobnej matni się znalazła, a nawet doszła do przekonania, iż jej ciebie kochać nie wolno...

— Ależ ja służyłbym jej radą, pomocą...

— Właśnie, tego pragnie, zapewne, uniknąć... Obawia się podejrzeń, jakie mogłyby paść na nią i ją w twoich oczach zohydzić...

— Zohydzić?

— Naturalnie! Toć wystarczyło tego, żeś widział jak wchodziła do mieszkania Helmanowej, a już pędziłeś po ulicach, niczem warjat, — zwiąc ją w duchu prawdopodobnie zepsutą i przewrotną istotą... Nie dziwię się. Znajomość z właścicielką „Helwiry“ rzuca cień na każdą kobietę... A tu mogą mieć miejsce dwa wypadki.

— Jakie?

— Będę mówił szczerze i przepraszam z góry, jeśli moje wnioski mogą cię dotknąć...

— Mów! — rzucił krótko Fred, nieco ochrypłym z podniecenia głosem.

— Albo twoja znajoma nie uczyniła nic niewłaściwego, a Helmanowa stara się ją tylko w swe sieci uwikłać a ona

boi się o tem komukolwiek zwierzyć..

— Albo...

— Albo też w jej przeszłości istnieje coś, jakiś lekkomyślny romans, nieopatrzny krok, o czem wie Helmanowa i najbezczelniej wykorzystuje tę okoliczność, chcąc biedaczkę pochwycić w swe szpony...

— Boże! — zawołał z nowym przypływem rozpaczy Korski, w którego wyobraźni zarysował się niezwykle jaskrawo obraz Hanki, w objęciach innego mężczyzny — Boże, jakie to straszne... A ja ją tak miłowałem!.. Bodaj więcej nad siostrę, nad matkę!.. Lenka już jest lekkomyślna, lecz nigdyby nie zabrnęła w podobną sytuację, by zależeć od takiej Helmanowej...

Och, jakże Fred był daleki od prawdy. Lecz Bartmański nie podchwycił tego porównania. Po cóż? Nie miało ono nic do rzeczy, a zestawienie osoby siostry Korskiego, którą znał oddawna, z domem schadzek wydawało mu się równie niemożebne, jak i Fredowi. Zerknął tylko na salę, w obawie czy kto nie podsłuchuje ich nazbyt ożywionej rozmowy, poczem zapaliwszy nowego papierosa, rzekł na zakończenie:

— Oto jakie logiczne przesłanki wysnuć można z tej całej historji...

— No tak! — wyszeptał namiętnie Fred. — Lecz co dalej czynić?... Walczyć, czy też zapomnieć?

— Pytasz o radę? — wymówił Bartmański po chwili zastanowienia. — Rada tu ciężka i odpowiedzieć ci na to może tylko własne przekonanie i własne sumienie...

— Więc?

— Jeśli twoja znajoma całkowicie zasługuje na to, a z twych słów wynikałoby, że szlachetna z niej, tylko nieszczęśliwa dziewczyna, ja osobiście wiedziałbym, jak postąpić... Ty, jednak, może należysz do liczby tych mężczyzn, którzy nie przejdą do porządku dziennego nad skazą w życiu kobiety...

— Skaza w życiu kobiety? Przejść do porządku... — mamrotał Fred, tocząc z sobą ciężką duchową walkę. — A nuż ona więcej zepsuta, niźli się wydaje?... Nie, niemożebne... Omotała Hankę łajdaczka... Wszystko to straszne, okropne... Lecz moim obowiązkiem spieszyć na ratunek... Tak, nawet wbrew jej woli, wyrwę ją z tego...

Bartmański z widocznem zaciekawieniem śledził wewnętrzne przełamywanie się Freda. Posłyszawszy ostatnie słowa, zawołał:

— Oto decyzja, godna prawdziwego mężczyzny!.. Twoim obowiązkiem wyrwać biedactwo z macek wstrętnej rajfurki... Nie bacząc nawet na przeszłość... A gdyby ta przeszłość była tak straszna, że przekreśliłaby twą miłość, spełnisz zawsze dobry uczynek...

— Masz słuszność! — rzekł tym razem mocno Korski, powziąwszy postanowienie. — Odwiedzę ją jutro i oświadczę wręcz, nawet narażając się na największy gniew, iż wdarłem się w jej tajemnicę... A później postaram się ocalić.

Obaj zamilkli.

Fred układał w głowie pewien plan, a delikatny z natury Bartmański, nie chciał niepowołanem słówkiem, przerywać zadumy przyjaciela. Rzuciłby jeszcze nie jedno pytanie,

lecz obawiał się go urazić, lub wydać niedelikatnym. Wreszcie Korski odezwał się pierwszy:

— Nie miej mi za złe, że cię opuszczę, ale męczy mnie obecnie ten gwar i zgiełk kawiarni... Sam rozumiesz, w jakim znajduję się stanie ducha, a w samotności pragnąłbym przemyśleć to i owo... Kiepski dziś ze mnie towarzysz do zabawy...

Lecz Bartmański nie zamierzał go zatrzymywać.

— Całkowicie pojmuję, Fredzie! — wymówił ciepło, mocno ściskając rękę Korskiego. — Pojmuję, co się z tobą dzieje i współczuję serdecznie... Nigdy nie śmiałbym nalegać... Nie żałuj, żeś przyszedł... Ta spowiedź dobrze ci zrobiła... Podzielić się z kimś oddanym swą troską, to jakby zepchnąć ze swych bark połowę tej troski... A wiesz, żem ci prawdziwie życzliwy... Tylko...

Korski pojął.

— O dalszym przebiegu wypadków nie omieszkam cię w najbliższej przyszłości powiadomić...

— Może przydam się na co...

Fred raz jeszcze uścisnął dłoń przyjaciela i szybko skierował się do wyjścia.

Po drodze niechcący dość mocno potrącił jakiegoś wyelegantowanego młodzieńca i nie zauważywszy tego nawet w swem podnieceniu, wybiegł z kawiarni.

Lecz jeśli Fred go nie spostrzegł — tamten aż obejrzał się za nim, a w oczach odbiło się zdumienie.

— On tu?... Szkoda, że umówiłem się z Mary. Wartoby ustalić nazwisko...

Owym młodzieńcem, wkraczającym z pewną, a pańską

miną na salę — był nikt inny, niźli świetny pan Tolo.

Powracał właśnie z Długiej, umówiwszy się w kawiarni z pewną niewiastą, z którą łączyły go różnorodne interesy. Wiedział, że ta osóbka czekać nie lubi, a śledząc Gliniewską, spóźnił się prawie o pół godziny.

Ujrzał ją zdaleka i szybko począł się przeciskać poprzez stłoczone stoliki.

— Jesteś? — zawołała z gniewem. — Chciałam już odejść...

— Widzisz, Mary... — począł tłumaczyć, siadając obok na krzesełku. — Zatrzymały mnie naprawdę pilne sprawy...

— Et, znam te sprawy... Partja bilardu, albo latanie za spódnicą...

— Zapewniam...

— Znów łżesz, swoim zwyczajem...

Wypowiedziawszy te słowa, towarzyszka Tola, z widocznem zniecierpliwieniem zapaliła papierosa. Śmiało można było ją nazwać bardzo ładną dziewczyną, zdala nawet uderzała jej uroda, prawidłowe rysy i delikatna cera, wielkie czarne oczy, włosy, niczem skrzydła kruka, z poza karminowych warg połyskujący rząd białych ząbków.

Wytworny, acz skromny ubiór nie przypominał wrzaskliwego kokociego szyku. Lecz kto przypatrzyłby się pannie Mary bliżej, szczególniej gdy nie panowała nad sobą, ten spostrzegłby w pięknych oczach złe błyski, a wokół ust grymas dziwnie okrutny — wnet wyniósłby inne wrażenie. Bo Mary, mimo swych lat dwudziestu, zdążyła już przejść przez niejedno i wszystko było jej dobre byle dojść do celu — zdobycia pieniędzy.

— Łżesz! — powtórzyła twardo. — I niech się skończy ta zabawa.

— Jaka zabawa?

— Jeśli zgodziłam się na twoją znajomość z Helmanową, to myśląc, żeś chłopak mądry i potrafisz zrobić dobre uderzenie... A ty co? Pętak zwyczajny... Złapie parę groszy i przehula z kolegami, a później wiecznie chodzi goły... Jeszcze mnie prosi... Pożycz, Mary... A tu takie czasy podłe, że każdyby za dwa złote psa do Krakowa z Warszawy pogoni...

— Poczekaj, Mary... — jął tłomaczyć...

Nie dała mu dokończyć zdania.

— Na co mam czekać? Dosyć czekałam... Rozumiem, że moim obowiązkiem było ci pomóc, kiedyś wyszedł z więzienia i zdychał z głodu... Ale teraz... Jak nie chcesz sam — gwizdnę na ciebie i poszukam naprawdę cwaniaka...

Tolo skrzywił się lekko. Niezbyt lubił, gdy mu wspominano o starej przygodzie, zakończonej półrocznym pobytem w celi. Zato, że komuś gdzieś w dancingu zginęła złota papierośnica? Właśnie ten pobyt wstrzymywał go od szybszej „roboty“ z Helmanową. Ale Mary, która była nieocenioną pomocnicą, należało koniecznie uspokoić.

— Najprzód sytuacja nie przedstawia się tak tragicznie — szeptał nachylony przez stolik. — Tylko ty nie dajesz mi dojść do słowa... Wyciągnąłem z baby setkę, co mi się dotychczas nie zdarzyło... A spóźniłem się, bom wywąchał ciekawą sprawę...

Tu powtórzył o przygodzie z Gliniewską. Nie trafiło to bynajmniej do przekonania jego towarzyszce.

— Zawracanie głowy! — zawołała. — Studentka!!! No i cóż z tego wyjdzie? Masz wrażenie, że obawia się jej Helmanowa? Mogło ci się tylko wydawać... Tak nie zajedziesz daleko...

— Czemu? — bąknął rozczarowany.

— Chcesz — mówiła, skrzywiwszy się ironicznie — nawalić starą, wywąchawszy sekrety?.. Chytrzejsza ona od ciebie i buty zedrzesz, nim coś zrobisz... I co ci da, żebyś nie pyskował? Parę tysięcy... Dla mnie to frajer...

— Ale niema ryzyka...

— Tchórz jesteś! Zaryzykować trzeba...

— Można usiąść!

— Mądry chodzi, głupi siedzi! Uspokój się! Jak się będziesz mnie słuchał, nie grozi więzienie...

Tolo wodził palcem po blacie stolika.

— Więc?

— Dawno ci mówiłam — prawiła teraz gorączkowo — żeś powinien się dowiedzieć, gdzie stara chowa biżuterję... Toć ma podobno brylantów na sto tysięcy... No i forsy kupę... W domu trzyma wszystko... Do banku oddawać się boi, żeby na nią nie zwrócili uwagi. To jakeś ją poznał, myślałam, sam się domyśli i rąbnie... A ten setką się stawia, albo tu gada o głupich interesach...

— Nie tak łatwo, jak ci się zdaje! — mruknął, jakby zastanawiając się nad czemś, bo i jemu ten plan chodził po głowie. — Nie tak łatwo...

— Obawiasz się, że poleci z krzykiem do policji? Najprzód będziemy już daleko... Pozatem nie wiem, czy wogóle da znać... Policja mogłaby się zainteresować jej

osobą... Przestraszy się skandalu i wrzasku po gazetach... Będzie milczała...

— Hm... no... widzisz... — bąknął, gdyż Mary nie mówiła nic nowego. — Widzisz. I ja myślę... nie poleci... Dlatego zbierał właśnie przeciw niej dowody, żeby się lepiej jeszcze zabezpieczyć... A gdzie biżuterję chowa? Wiem... w kasie i w tualecie... Tylko...

— Tylko?

— Tylko... Trudno wykonać...

— Trudno?

— Kiedy ją odwiedzam, stale jest w domu... Wie ona dobrze, co o mnie sądzić i na chwilę nie spuszcza z oka... Włamanie nie miałoby sensu... Chyba w nocy...

— Tak, w nocy!

— A jeśli się obudzi i wrzasku narobi?

— Przeraża cię robota na „mokro“?

— Nie... nie... — wymówił niepewnie.

Choć dał twierdzącą odpowiedź, aby zaimponować kochance, pochodzącej ze złodziejsko-bandyckich sfer, przerażała go właśnie ta „robota na mokro“ i za wszelką cenę pragnął jej uniknąć.

— Zastanowię się! — po chwili oświadczył. — W każdym razie trzeba zrobić uderzenie...

Zerknęła nań z pod oka, zapaliwszy nowego papierosa.

— Słuchaj! — rzekła twardo. — Daję ci tydzień czasu i tak samo, jak i ty wystawię się na niebezpieczeństwo... Ale jak po tygodniu znów zaczniesz kręcić...

— Bądź spokojna! — odparł z mocnem postanowieniem w głosie.

Niedługo potem dobrana para, w najlepszej komitywie, pędziła taksówką w stronę knajpy „Pod schodkami“ na Czerniakowskiej. Tam, za zdobytą setkę można było popić i tęgo się zabawić, bez obawy, by kto podsłuchał jakie nieopatrzne słówko.

Zresztą w tej knajpie właśnie mieli być Felek „Malowany“ ze swą „małżonką“ panną Zuzą. Osóbka ta „rąbnęła“ dziś jakiemuś przejezdnemu Amerykaninowi paręset dolarów — wobec czego „zamelinowawszy“ się przed okiem władzy w podrzędnej knajpie — stawiała kolację najbliższym przyjaciołom.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stanisław Antoni Wotowski.*

ROZDZIAŁ V.

Decydująca rozmowa.

Fred nie spał prawie całą noc, a zdrzemnąwszy się dopiero nad ranem, już o siódmej zerwał się na nogi.

Ubrał się szybko i wielkiemi krokami jął mierzyć swój mały pokoik ostatni w trzypokojowem mieszkanku, które zajmował wraz z matką. Musi rozmówić się raz jeszcze... Łatwiej jednak to było postanowić, niżli wykonać...

Gdyż...

Jeśli pójdzie do Hanki — zapewne go nie przyjmie. Będzie czatował przed domem — niewiadomo, kiedy uda się ją spotkać. List napisać, proszący o wyznaczenie spotkania? Czy odpowie?

Z rozpaczą obrzucał wzrokiem skromne sprzęty, zdobiące studencki pokoik, jakby błagając tych niemych świadków o radę... Ale ani wąskie, żelazne łóżko, ani zwykły, drewniany stół, zarzucony zeszytami i książkami treści prawniczej, — nie mogły mu tej rady udzielić...

Tedy...

Coraz więcej zdenerwowany biegał po izdebce tam i z powrotem, nie wiedząc jakie powziąć postanowienie, gdy wtem niewesołe rozmyślania przerwał lekki stuk w drzwi.

To matka, zapewne posłyszawszy, że już nie śpi, wołała go na śniadanie...

Skrzywił się, niezadowolony...

Znów zacznie go dręczyć o zwykłe drobiazgi, narzekać, że wszystko drożeje, płakać nad swoim losem... Fred był bardzo dobrym synem i z pokorą znosił zrzędzenia staruszki... Dziś jednak chętnieby ich uniknął...

Miast jednak zwykłego frazesu — „Kawa stygnie!“ — posłyszał zdanie zgoła nieoczekiwane...

— Fred, list do ciebie...

— List do mnie?

— Przyniósł go posłaniec, ale już odszedł...

— Pewnie od mecenasa... — przemknęło przez myśl — chce, żebym załatwił coś w sądzie...

Szybko otworzył drzwi, ucałował rękę matki — starszej już, nieco pochylonej kobiety, do której twarzy przywarł jakby wyraz płaczliwy — i pochwycił kopertę...

To nie pisał mecenas i Fred aż drgnął z wrażenia.

Adres został skreślony rączką Hanki Gliniewskiej. Rozerwał i gorączkowo czytał:

Panie Alfredzie!

Zachowałam się wczoraj, jak histeryczka... Wstydzę się mojego postępowania i szczerze żałuję, jeśli sprawiłam mu przykrość. — Pragnę pewne sprawy wyjaśnić, a wolę to uczynić nie w domu. Dla tego też oczekiwać będę na Pana w Saskim Ogrodzie koło fontanny, o dziesiątej.

Szczerze życzliwa
Hanna Gliniewska.

Hanka pierwsza wyznacza spotkanie? Pragnie pewne sprawy wyjaśnić? Wstydzi się wczorajszej sceny? Uśmiech wielkiej radości opromienił twarz Freda, opromienił, lecz na krótką chwilę. A Helmanowa? A ta wizyta u niej...

— Zła, czy dobra nowina? — zagadnęła matka, która śledziła twarz Freda. — Czytasz i to się cieszysz, to się smucisz...

— At, nic... — odparł wymijająco.

— No to chodź... Śniadanie czeka...

Teraz mógł już zjeść śniadanie z apetytem i spokojnie wysłuchiwać narzekań. Najważniejsza przeszkoda została usunięta. Za parę godzin ujrzy Hankę, może będzie z nim szczera... On nie zawaha się przed niczem, zmusi do wyznań, ocali z bagna...

Rozmyślając nad tem, chrupał bułki i popijał je mleczną kawą, kiwając do taktu głową, słowom matki, która obecnie biadała nad drożyzną mięsa, jajek i mleka. A robił to z takiem przejęciem, myślami błądząc gdzieindziej, że nieprzyzwyczajona do podobnej uwagi, wreszcie zawołała z zadowoleniem:

— Teraz pojmujesz, jak trudno prowadzić gospodarstwo, żeby związać koniec z końcem!

— W Saskim ogrodzie!.. — wyrwało mu się niechcący, gdyż myślał o spotkaniu z Hanką.

— Co, w Saskim ogrodzie? — oburzyła się — Pleciesz od rzeczy! Co ma ogród Saski do drożyzny?

Fred roześmiał się głośno.

— Daruj, mamo! — ucałował jej rękę — Medytowałem nad czemś innem... Że przez ogród Saski najbliżej do

sądu... A tam mam się udać z polecenia mojego mecenasa... Już uciekam, mamo...

Udzieliwszy tego, nieco wykrętnego wyjaśnienia, Fred wybiegł z mieszkania, nie zważając na okrzyk:

— Kiedyż ty spoważniejesz?!

Miał jeszcze z górą godzinę przed sobą, lecz ciągnęło go, aby znaleźć się na świeżem powietrzu, zastanowić się przedtem, z góry ułożyć plan przyszłej rozmowy.

Od czego zacznie? Jak wyzna, że ją wczoraj śledził? A może sama Hanka ułatwi mu to zadanie. Może szczerze opowie, co ją skłoniło do dwuznacznych odwiedzin?.. Zażąda Freda pomocy, aby wyrwał ją z matni, w którą się lekkomyślnie uwikłała?

Cierpliwości...

Wnet wszystkiego się dowie...

Oczekując z utęsknieniem godziny dziesiątej i raz po raz spoglądając niecierpliwie na zegarek, krążył Fred po alejach Saskiego ogrodu. Październikowe słońce złociło pożółkłe drzewa, z których dobiegało wesołe szczebiotanie ptasząt, ucieszonych temi ostatniemi przejawami ciepłej jesieni. Tu i owdzie na ławce, czytając gazetę wygrzewał się jakiś emeryt, obok hałaśliwe grupki dzieci igrały beztrosko, napełniając powietrze swą wrzawą.

Kiedyż przyjdzie?

Dojrzał ją nareszcie...

Szła od ulicy Niecałej, nieco zgarbiona, z opuszczoną nisko główką, nie domyślając się widocznie, że Fred ją zdala obserwuje. Wydawało się, iż dźwiga na swych barkach ciężar, przerastający jej wątłe siły.

— Panno Hanko!

Wyprostowała się, a blady, nieszczery uśmiech wykwitł na twarzy, usiłując pokryć widoczną troskę.

— A... Czekał pan na mnie...

— Oczywiście... Pani list sprawił mi prawdziwą przyjemność... Z niecierpliwością oczekiwałem na tę chwilę, aby resztę naszych nieporozumień wyjaśnić osobiście...

Nie odparła na to ani słówkiem, tylko oboje jakby za obopólną milczącą zgodą skręcili w boczną aleję, gdzie szereg wolnych ławek, zdala od wrzawy i zgiełku ogrodu, zapraszał do spoczynku i poufniejszej rozmowy.

— Ot, tu usiądziemy! — rzekła, pierwsza zajmując miejsce.

Usiadł obok, postanowiwszy opanować wzburzenie, nie zdradzić się z niczem i wyczekać, w jaki sposób ona zechce oświetlić wczorajszą przygodę.

Nie łatwo to widać szło Gliniewskiej, bo dopiero po dłuższem milczeniu, rzekłbyś opanowywując się całą mocą woli, poczęła:

— Istotnie, chciałam pana widzieć, panie Fredzie... Znajomość nasza nie powinna się w ten sposób zakończyć... Pan wczoraj nie uraził mnie, to ja zachowałam się... jak szalona... Wyjątkowe zdenerwowanie, szereg przykrości... Postępowałam, niby w malignie... a pan niektóre moje słowa, lub... ruchy... skomentował zupełnie opacznie... Nie pana to wina... Dopiero kiedy pan odszedł, oprzytomniałam i zawstydziłam się bardzo... Proszę więc mi wybaczyć i o tem wszystkiem zapomnieć... Szczególniej, że lubię pana

istotnie... Nic więcej... I pragnę w nim mieć na całe życie przyjaciela... I chcę, żeby pan zachował o mnie stale dobre wspomnienie...

Choć dziś Hanka przemawiała pozornie spokojnie, Fred nawet gdyby tego nie wiedział, co wiedział, łatwo mógł wyczuć, że jest ona daleka od szczerości i pokrywa banalnemi słowami wewnętrzne wzburzenie. Zastanowił go jednak frazes ostatni, a chcąc ją przynaglić do wyznań, podkreślił:

— Dobre wspomnienia? Wspomnienia zachowują tylko ludzie, którzy mają się na zawsze, lub na czas dłuższy rozłączyć... Czyżby pani zamierzała mnie nie widywać panno Hanko, choć sama pani twierdzi, że wczorajszą scenę mamy wykreślić z pamięci...

Koniec pantofelka Gliniewskiej uderzał zawzięcie o piasek, a wzrok jej opuszczony do dołu uporczywie śledził te ruchy. Wreszcie cicho wyszeptała...

— Odgadł pan! Nie zobaczymy się więcej...

— Nie zobaczymy?

— Tak! Przyszłam pożegnać się z panem...

Podskoczył aż na ławce.

— Czemu? Czemu mielibyśmy się nie widywać... Toć przyznaje pani, że nie uraziłem jej niczem...

— Przyznaję...

— Tedy...

Spojrzała mu teraz prosto w oczy i z mocnem postanowieniem wyrzekła:

— Wyjeżdżam!...

— Pani wyjeżdża?

— Tak...

Fred był coraz bardziej zdumiony. Wszystko raczej spodziewał się usłyszeć, niźli podobne, nieoczekiwane oświadczenie.

— Ależ nie zamierzała pani przed tem...

— Zdecydowałam się dziś w nocy.

— Z jakiego powodu?

— Różne sprawy rodzinne, w które zbyt długo byłoby pana wtajemniczać...

— Oczywiście, nie śmiem nalegać. A wolno zapytać dokąd nastąpi ten wyjazd...

— Czyż nie wszystko jedno?

— Jakto, wszystko jedno? — zawołał z oburzeniem. — Więc pani nie życzy sobie nawet, abym do niej pisywał...

— Później zawiadomię o adresie... sama do pana napiszę...

Raptem wyrwał się Fredowi gniewny okrzyk:

— Et, panno Hanko... Nie wierzę ja w ten wyjazd!

— Nie wierzy pan?

— Nie wierzę i basta! Pani nadal gra ze mną tę samą komedję, co i wczoraj, tylko w nieco inny sposób...

Twarz Hanki stała się ciemno purpurowa.

— A gdyby tak było! — twardo odparła — Gdybym zakończenie naszej znajomości pragnęła upozorować wyjazdem? Czyż mi nie wolno? Niedelikatnie to z pańskiej strony, że pan nalega... A ja się tak cieszyłam, że rozstajemy się w zgodzie.

— Nalegam, bo mam po temu, bardzo ważne powody...

— Ważne powody? Powód jest jeden. Wyjeżdżam, lub

też nie wyjeżdżam, a nadal widywać się nie możemy... Może jest mi to równie przykre, jak i panu... Niestety, do różnych konieczności, zmuszają życiowe warunki...

Przy tych ostatnich słowach, głos jej się załamał i wyszeptała je prawie z bólem. A w kącikach oczu zaszkliły się łzy.

Fred już nadal wstrzymywać się nie mógł. Musiał wyrzucić z siebie ogrom ciężaru, leżącego na sercu, musiał za wszelką cenę zmusić tę nieugiętą, a skrytą istotę do szczerej rozmowy.

— Panno Hanko! — wykrzyknął gwałtownie. — Wiem więcej, niźli się pani zdaje! I moim obowiązkiem jest panią uratować...

Zbladła, a w oczach zamigotał niepokój, jak u kogoś, kto wyczuwa poważne niebezpieczeństwo.

— Pan o mnie coś wie? Pańskim obowiązkiem jest ratować? Nie rozumiem...

— Wczoraj — mówił teraz niezwykle podniecony — błądziłem po omacku... Domyśliłem się, iż znalazła się pani w jakiejś straszliwej sytuacji i z tej sytuacji wyjścia szuka i go znaleźć nie może... Próbowałem panią nakłonić do wyznań... Daremnie... A potem ta scena... Och, prędko zrozumiałem jej sens... Chciała pani mnie jak najprędzej się pozbyć, aby się nie zdradzić jakiemś słówkiem nieopatrznem... I dziś... Wyjeżdżam, nie pytaj o nic!.... Lecz w międzyczasie udało mi się uchylić rąbka, otaczającej ją tajemnicy...

— Uchylić? Tajemnicy? — głucho wyszeptała.

— Czy wolno zapytać — wyrzekł teraz powoli, wpijając

się w Gliniewską wzrokiem — co panią skłoniło do odwiedzenia pewnej firmy, w jednym z domów przy ulicy Koszykowej?

— Firmy?

— Salonu mód „Helwira“!

Fred wciąż śledząc Hankę uważnie i spostrzegając od paru chwil jej niepokój i bladość, sądził, że po tem obcesowo zadanem zapytaniu, zmiesza się ona ostatecznie, lub wybuchnie łzami. Tymczasem nastąpił skutek wręcz odwrotny. Wyprostowawszy się nagle, rzekłbyś oburzona do głębi, zawołała z gniewem:

— Pan mnie śledził?... To podłe!...

— Podłe?

— Nazywam podłością podstępne wdzieranie się w cudze tajemnice!

Wykrzyknik Gliniewskiej zabrzmiał z wielką mocą, ale i Fred miał tego wszystkiego dość.

— Jest podłością — mówił, nie mniej niźli ona podniecony — śledzić kogoś przez ciekawość, lub małostkową zazdrość... Lecz gdy o ratunek chodzi...

— Jaki ratunek?

— Stoi pani nad brzegiem przepaści! Dopiero wtedy pojąłem wszystko... I myśli o samobójstwie i niezrozumiałe postępowanie... Nie wolno być tak skrytą! Znalazła się pani w strasznej matni, skąd szuka ratunku! Czemuż nie było mi powiedzieć... Jakbym zrozumiał, wybaczył, postarał się dopomóc...

Oczy Gliniewskiej iskrzyły się od sekundy nieudanym gniewem, a chwilami, rzekłbyś, widniała w nich obrażona

duma.

— Pan miałby mi coś do wybaczenia? — syknęła. — Doprawdy, świetne! Pan się zapomina...

— Panno Hanko! Mamże jaśniej jeszcze tłumaczyć? Pani nadal się zapiera?

— Proszę przestać!

Freda aż poderwało do góry. Więc była ona tak do szpiku kości zepsuta? Dalsza komedja, choć wie, że poznał prawdę?... Nie, nie będzie się bawił się w żadne względy.

— Odwiedziła pani wczoraj salon mód „Helwirę“! Stanowi on własność niejakiej Helmanowej.. A ta Helmanowa cieszy się taką reputacją, że sama z nią znajomość rzuca cień na każdą porządną kobietę...

— Ach!...

Cicho zabrzmiał ten okrzyk. Gliniewska zgięła się raptem wpół, jak kwiat podcięty uderzeniem spicruty. Nie gniew już widniał na jej twarzyczce, ale bezmierny ból i przygnębienie. Lecz Fred brutalnie przemawiał dalej.

— „Helwira“ jest ukrytym domem schadzek! I pani wiedziała o tem, panno Hanko! Cóż pani mi teraz odpowie?

Urwał, obserwując jakie wrażenie wywołają jego słowa. Jeśli poprzednio mógł się spodziewać, że wyprze się wogóle znajomości z Helmanową i udając oburzenie, powstanie z ławki i odejdzie, teraz widząc jak siedzi złamana, mniemał, że przytłoczył Hankę argumentami i rychło z jej ust posłyszy szczere wyznanie.

Ona tymczasem, odwróciwszy się nieco od Freda, siedziała w milczeniu, niby bezmyślnie wodząc wzrokiem po igrających zdala grupkach dzieci, czy też świergocących

wśród drzew ptakach.

Nalegał:

— Nic pani nie odpowie?

Nagle ujrzał jej oczy ogromne, rozszerzone męką a z ust wybiegły pokorne, przepojone serdeczną prośbą wyrazy:

— Niechże pan już skończy i nie dręczy mnie dłużej!... Czyż pan nie pojmuje?...

Jeszcze jeden atak, a odniesie zwycięstwo.

— Nic nie pojmuję! — zawołał — I nie skończę dopóki prawdy nie poznam! Musi mi pani wszystko powiedzieć, musi się zwierzyć, co ją skłoniło do podobnych odwiedzin?...

— Nie mogę...

— Nie może pani? Toć nie prosta mną powoduje ciekawość... Cokolwiek pani wyzna, w niczem to nie zmieni naszego stosunku... Zastawiono na panią wstrętne sieci, ja z tych sieci chcę ją wyrwać...

Oddychała teraz ciężko, a na jej twarzy znać było widoczną walkę.

— Niech pan nie nalega... Są czasem rzeczy straszne...

Czuł, że słabnie.

— Będę nalegał! Niema sytuacji bez wyjścia... Więc, panno Hanko?...

Raptem w tej tajemniczej istocie nastąpił znów duchowy zwrot niespodziewany. Gdy Fredowi wydawało się, że jest już bliski celu — jej twarzyczka, wbrew wszelkim oczekiwaniom, przybrała wyraz wielkiego spokoju i Gliniewska, snać powziąwszy mocne postanowienie, wyrzekła:

— Więcej nic pan odemnie się nie dowie!

Załamał ręce z rozpaczą, pojąwszy, że cały dotychczasowy trud był daremny.

— Ach! — zawołał — Co za okropne rozczarowanie! Odtrąca pani moją pomoc i pragnie się ze mną rozstać, bo tak jej postępować wygodniej...

Drgnęła trochę, posłyszawszy obelżywą aluzję — lecz nie wyprowadziła jej ona obecnie z równowagi.

— Chce pan mnie dotknąć? — odparła z odcieniem smutku. — Wolno to panu, bo tak przemawiają pozory... Może pożałuje pan tego kiedyś bardzo, panie Fredzie.

— Kiedy...

— Pożałuje pan bardzo! — powtórzyła z naciskiem. — Lecz dziś... Pojmuję, co pan sobie myśli, wiedząc, że odwiedziłam... — tu nagła czerwień zalała policzki — panią... panią Helmanową... I że nie chcę mu udzielić jakichkolwiek w tej sprawie wyjaśnień... Tylko...

— Tylko...

— Mniemałam, że pan ma więcej do mnie zaufania...

— Panno Hanko! Ten niezrozumiały upór...

— Widocznie inaczej postąpić nie mogę!... Lecz ja i brud życia?... Jakżeż daleka jestem od niego i jak nim gardzę! I pan śmiał mnie podejrzewać?! Nie, panie Fredzie. Sądziłam, że inaczej wypadnie nasze pożegnanie...

Gwałtownie podniosła się z ławki, zamierzając odejść. I on zerwał się zkolei.

— Panno Hanko! Toć ja panią kocham nad życie... Uwielbiam... Naprawdę, nie ujrzymy się więcej?

— Nigdy... Tembardziej po tej rozmowie...

Szedł teraz obok niej, nie wiedząc ani co mówić, ani co czynić. Tak świetnie ułożony plan spełzł na niczem? Dotknął jedynie Hankę... Może omylił się w swych przypuszczeniach, może to była zgoła niewinna wizyta... Niewinna? Pocóż, w takim razie ta tajemniczość, ta raptowna decyzja rozłąki?... Czy Hance w rzeczy samej nic zarzucić nie można, czy tu gra znakomicie komedję?...

Trawiony temi refleksjami, kroczył obok Gliniewskiej w milczeniu. I ona nie odzywała się teraz ani słowem, jakby nie spostrzegając jego obecności. Dopiero, gdy opuścili Saski ogród i znaleźli się u wylotu Niecałej, przystanęła, wyciągając na pożegnanie rękę.

— Tu się rozstaniemy...

Fred pochwycił drobną rączkę i zatrzymał w swej dłoni. Nie, on nie zamierzał w taki sposób się rozstać. Może znów powróciłby do poprzedniej rozmowy, może znów począłby dręczyć Gliniewską zapytaniami, na które nie chciała dać odpowiedzi — gdy wtem przypadek, wszechpotężny przypadek, dał nieoczekiwane rozwiązanie całej sytuacji.

Bo oto z przejeżdżającego Wierzbową samochodu wychyliła się, snać ujrzawszy Hankę, jakaś elegancka dama i zatrzymawszy taksówkę, poczęła w jej kierunku dawać znaki ręką. Znać było, iż pragnie, aby Gliniewska zbliżyła się do niej.

— Któż to taki? — wyrwało się niechcący zapytanie Fredowi.

Choć zapytanie to, szczególniej obecnie, było więcej niż nie na miejscu i łatwo mogła go za niewczesną ciekawość skarcić Hanka — ujrzał ze zdumieniem, że czerwieni się

ona i jest wyraźnie zmieszana.

— Któż taki? — powtórzył i nagle z intuicją, właściwą tylko zakochanym, wypalił. — Czy przypadkiem nie pani Helmanowa, właścicielka „Helwiry“?

Nie otrzymał odpowiedzi. Tylko ubrylantowana pani w samochodzie czyniła coraz energiczniejsze ruchy, jakby prosząc, aby Gliniewska pozbyła się swego towarzysza i obok niej zajęła miejsce.

— Więc zgadłem! — z pasją zawołał Fred. — Zgadłem! Helmanowa... Tu śmie cię łapać, Hanko, na ulicy, publicznie...

— Panie Fredzie!

— Och, jakże nienawidzę tę przeklętą łajdaczkę! Pozostań... To ja podejdę do niej i powiem, co o tem wszystkiem myślę...

Już miał rzucić się naprzód, gdy wtem drobna rączka powstrzymała go za ramię...

— Więc poznaj moją tajemnicę, Fredzie — posłyszał cichy szept — Może nie mniej nienawidzę tę kobietę, jak ty... Ale ci jej ruszyć nie wolno... Wszak to moja matka.

— Matka! — jęknął głucho Fred — i raptem zasłona mu spadła z oczu.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stanisław Antoni Wotowski.*

ROZDZIAŁ VI.

Karjera Lenki.

Pani Lenka mierzyła pospiesznie krokami swój skromny mieszczański salonik.

W jej życiu nastąpił przełom, lecz bynajmniej nie pod względem moralnym...

Nie, aby się trwożyła, iż mąż może się dowiedzieć o wizycie u Helmanowej. Stąd nie groziło żadne niebezpieczeństwo — ciężar wiszący nad jej głową w postaci sfałszowanych zobowiązań, chwilowo spadł w serca. Lecz mimo całej naiwności, rozumiała, że postawiwszy pierwszy krok na pochyłej drodze, nie zatrzyma się w miejscu i postawi następny... Kto wie, czy nie w bliskiej przyszłości... A co ta przyszłość przyniesie? Tu ładną twarzyczkę zasępiała troska, a niskie czoło przecinały zmarszczki zadumy.

No i pod jednym względem od paru dni zmieniła się całkowicie — w stosunku do męża.

O ile przedtem oschły i marudny Okoński napełniał ją stale trwogą i nigdy nie śmiała przeciwstawić mu się, lub odpowiedzieć ostrzejszem słówkiem — o tyle teraz rodził się w niej jakiś bunt i wypływała na wierzch długo tłumiona nienawiść. Jeśli ją odepchnie wie gdzie pójdzie i znakomicie da sobie radę bez niego! Taki mąż! Sprzedano

ją za starca — dziś umie sprzedać się sama.

Oznaki tej emancypacji nie kazały na siebie długo czekać. Zpoczątku wprawdzie nieco cicho odburknęła na zrzędzenia pana Ignacego, później prawie brutalnie odtrąciła jego pieszczoty, a nareszcie przy dzisiejszym obiedzie wywołała prawdziwą awanturę, pierwszą w ich pożyciu małżeńskiem.

Bo oto kiedy Okoński jął swoim zwyczajem utyskiwać, że zupa jest przydymiona, mięso podobne do starej podeszwy, a nie do mięsa, że Lenka nigdy dobrą gospodynią nie zostanie, choć on wyciągnął ją z pod płota i wydał na nią masę pieniędzy — z gniewem nagle zawołała:

— To poszukaj sobie innej służącej!

Pan Ignacy mało nie podskoczył na swem krześle. Do oporu dotychczasowej niewolnicy nie był przyzwyczajony, a jej ostry wykrzyknik przejął go zdumieniem. Jeszcze własnym uszom nie wierzył.

— Coś powiedziała? — powtórzył.

— Żebyś poszukał sobie innej służącej! — nie przestraszyła się groźnego spojrzenia, które padło z za binokli małżonka — Bo ja mam tego wszystkiego dość!

Okoński, wysoki, zasuszony jegomość, o pergaminowej twarzy i pożółkłych od dymu tytoniowego wąsach, stał się jeszcze sztywniejszy. Wydawało się, że pragnie zmiażdżyć wzrokiem swą połowicę, a długie, kościste palce jęły wybijać energicznie takt po stole.

— Cóż za humory? — warknął — Wiesz, że humorów nie znoszę!

— Ale ja twoje za długo znosiłam! — Ktoś, ktoby

patrzył z boku na zazwyczaj apatyczną Lenkę, zdziwiłby się jej niezwykłej energji. — Jesteś wstrętny skąpiec... Dajesz tyle, że nic porządnego kupić nie można. A później ciągłe wymówki i wymówki. Tu urwała i utkwiła oczy w podłogę, zaczerwieniwszy się mocno, może sama zdziwiona swym wybuchem. On tymczasem, mniemając że iskra buntu szybko zgasła, jął twardo przemawiać.

— Słuchajno, Lenko... Skoroś zaczęła, pozwól, że ci przypomnę pewne fakty, abyśmy nigdy nie powracali do podobnej rozmowy.. Byłaś panną biedną bez posagu i przymierałaś głodem, dopókim się z tobą nie ożenił... Mogłem uczynić świetną partję, bo jestem człowiekiem solidnym i na stanowisku, jednak wybrałem ciebie... Wszyscy teraz pieniądze ze mnie prujecie... Ty... Matka... Nic nie mówię... Ale żądam za to wdzięczności i ślepego posłuszeństwa... Rozumiesz! — uderzył mocno ręką o stół. — Ślepego posłuszeństwa... A domem masz rządzić, tak jak ja chcę... I żadnych kaprysów...

Ale jeśli Okoński sądził, że opór Lenki został przełamany i że powróci ona do poprzedniej roli biernego posłusznego kobieciątka, to zawiódł się srodze. Niedelikatne wymówki i napomnienia brutalne, które niejednokrotnie już słyszała, choć w łagodniejszej formie, podnieciły ją ostatecznie, przyprawiając o niepohamowany gniew.

— O jakiś ty gbur! — wykrzyknęła z pasją. — Jaki gbur! — I ty myślisz, że ci wszystko ujdzie bezkarnie! Że możesz mną pomiatać dowoli... Nie... Sporo czasu czekałam, żeby ci w oczy prawdę rzucić... Tak, byłam biedną, bez posagu

panną, nieraz nie mieliśmy na obiad, lecz po tysiąc razy milsza mi była ta bieda, niż twój pozorny dostatek... I te wieczne przycinki... — Czy ci nie wstyd wypominać, że mojej matce dajesz jałmużnę? Żeś mnie kupił, jak zwierzę i że z tem zwierzęciem masz prawo czynić, co ci się spodoba? O jakiś ty wstrętny! I podły... Bo sądzisz, że wszystko zniosę, bo nie mam dokąd się udać, ani nikt nie stanie w mojej obronie? Och, tyś odważny tylko ze słabemi, a przed mocniejszemi się płaszczysz...

Pergaminowa twarz pana Ignacego poczynała zlekka różowieć. I w nim wrzał potężny gniew, ale opanowywał się z całej siły. Lenka zadrasnęła go, jak mogła najboleśniej.. Domowy tyran nie znosił oporu i nie znosił, gdy kto mu mówił prawdę w oczy. Ale gdy natrafił na mocny opór, miękł, obawiając się skandalu i awantury. O, bo odgadła go Lenka dobrze. Nieugięty i szorstki dla podwładnych w firmie, w której był prokurentem, proch gotów był zamiatać przed szefami lub dyrektorem. Arogancki z ludźmi nieśmiałymi, cofał się, natrafiwszy na energicznego. Był to typowy lis, o powierzchowności zasuszonej mumji, lubiący chodzić lisiemi drogami i nie znoszący otwartej walki. A w życiu, właściwie, posiadał dwie namiętności — pieniądze, dla których gotów wszystko był poświęcić — i drugą namiętność — kobiety. Choć nie okazywał tego Lence, obawiając się utracić swój prestige w jej oczach, kochał jej ciało i nieradby się z niem rozstać.

Lecz teraz, co czynić? Scena gwałtowna zaskoczyła go nagle i sam nie wiedział, na co się zdecydować. Ustąpić i przeprosić Lenkę? Niemożebne! Nikt się dobrowolnie nie

pozbywa władzy. Dać folgę uniesieniu? Ją dziś ogarnął szał, — może dojść do licho wie jakiej awantury... Lecz, jak sobie wytłumaczyć ten wybuch zazwyczaj pokornej niewolnicy? Nabuntował ją kto, czy też atak histerji? Napewno zbuntowano... Ach ta przeklęta rodzina... A ten Fred najgorszy... Bo matka nie zdobyłaby się na podobne nauki...

— Hm!... — mruknął zjadliwie — Widzę tu wpływ dobrych rad rodzinki!

— Nikt mnie nie uczył i nikt rad nie udzielał! — odparła, w dalszym ciągu podniecona. — Każda cierpliwość ma swoje granice...

Postanowił ją zaszachować tem, czego dotychczas obawiała się najwięcej.

— Skoro ci źle, możesz choćby zaraz opuścić mój dom!

Słowo „mój“ mocno podkreślił, sądząc, iż frazes ten podziała, niczem strumień zimnej wody, na zaperzoną małżonkę. Ale odpowiedź wypadła wbrew wszelkim przewidywaniom:

— Niewykluczone, że tak postąpię!

Uśmiechnął się ironicznie.

— Powrócisz do matki?

— Moja rzecz, co z sobą zrobię!

Drgnął, widząc, że zabrnął za daleko. Czyżby Lenka zakochała się w kim? Ale prawie z domu nie wychodzi i nikogo nie widuje. Jaki smarkacz przewraca jej w głowie? Niemożebne. Jest apatyczna i daleka od flirtów. Ot, rozszalałe kobiece nerwy, niema czem się przejmować... Lenki nie chce utracić, ale nie chce również, żeby

wyłamywała się z pod jego władzy... Teraz nie będzie przedłużał tej sceny. Pójdzie do starej Korskiej i zapyta, co to wszystko znaczy. A mamunia, ze strachu, że urwą się dodatkowe subsydja, potrafi sobie poradzić z córeczką i Lenka przestanie pokazywać humory.

— Moja kochana — oświadczył tonem statecznego męża, którego obowiązkiem jest dbać o całość rodziny — odwiedzę twoją matkę i poproszę, aby przemówiła ci do rozumu... Gadasz dziś jak nieprzytomna i nie myślę dłużej wysłuchiwać twych niedorzeczności... Sądzę, że pod wpływem matki pojmiesz całą niewłaściwość swego postępowania...

— Bardzo proszę! Idź do matki...

Pan Ignacy z miną obrażoną powstał z miejsca. Niczem prokurator śpieszący przed trybunał, aby się domagać wymierzenia delikwentowi jaknajsurowszej kary, opuścił mieszkanie. A dopiero, gdy je opuścił — Lenka straciła pewność siebie.

Jak dalej postąpić? Czy nie zbyt wcześnie pofolgowała długo tłumionej nienawiści? Co teraz nastąpi?

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że popędzi do matki, wszystko przedstawi w zmienionem świetle, grubo dołoży. Opisze ją, jako najniewdzięczniejszą na świecie istotę, która za dobrodziejstwa odpłaca się kaprysami. Może nawet matkę tu sprowadzi, aby rozprawiła się z córką. A matka? — Jęki, łzy, narzekania, wymówki, potem prośby, aby Lenka uszanowała zacnego człowieka.

Ach, ten zacny człowiek!

Mimowoli skurczyły się ramiona Lenki. Nowa

przeprawa. Lecz, jeśli stać ją było na jeden wybuch gwałtowny, obecnie czuje, że niema już sił do dalszej walki — i znowu ulegnie. A wtedy szanowny pan Ignacy stanie się jeszcze brutalniejszy, jeszcze bezwzględniejszy.

Z gustem uciekłaby z domu. Lecz łatwiej było rzucić tę pogróżkę w rozmowie z mężem, niźli ją wykonać. Uciec, ale dokąd? Jeśli do awantury z Okońskim przyczyniła się w znacznej mierze świadomość potęgi swych wdzięków i Lenka w duchu już zgadzała się wstąpić na pochyłą drogę, na której pierwszy został uczyniony krok — daleką była od sprecyzowania tych planów. Być niezależną, uwielbianą, tak jak tamte, mieć klejnoty, piękne stroje — och, do tego dążyła z całej duszy. Lecz jak się zabrać, jak zacząć? Helmanowa? Ta nie zatelefonowała do niej od czasu pamiętnej wizyty. Resztki zaś wstydu wstrzymywały Lenkę, aby odezwać się pierwsza.

— Och, nie tak łatwo zostać kokotą! — wyrwało się z piersi westchnienie.

Mierzyła tedy Lenka pośpiesznemi krokami mały salonik, nie wiedząc, co przedsięwziąć. Pochwycić za słuchawkę telefonicznego aparatu, połączyć się z „Helwirą“ i błagać o pomoc? Toć wspominała Helmanowa, że z kłopotliwej sytuacji wybawiła tyle pań? Ale nie... Na samą myśl, iż ma prosić szefową o podobną przysługę, czerwień barwiła policzki Lenki i czuła, że słowa nie przecisną jej się przez gardło... Lepiej zaczekać...

A jeśli zaczeka — rychło pojawi się Okoński wraz z matką i rozpocznie się piła...

Ot, znieść chyba tę piłę, znów grać komedję, udając

pokorną i uległą.

Jak wszystkie natury słabe, które wolą działać drogą fałszu, niźli narażać się na ostrzejsze scysje — już Lenka postanawiała na czas jakiś znów udać potulną niewolnicę, póki warunki się nie zmienią — gdy wtem ciszę mieszkanka zmącił dość ostry dźwięk dzwonka u wejściowych drzwi.

Któż to mógł być? Mąż już z powrotem? Za wcześnie.

Nie czekając nim się z kuchenki wygrzebie służąca, zajęta myciem naczyń — zaintrygowana Lenka, sama pośpieszyła do przedpokoju.

Otworzyła drzwi — i gwałtownie zbladła, a z jej ust wyrwał się okrzyk przestrachu.

— Pan?

Stał przed nią ów pamiętny nieznajomy, a raczej przygodny kochanek z salonów „Helwiry“.

— Pan?... pan?... — bełkotała — Jak pan mnie odszukał?... Zresztą pan się myli...

— Wcale się nie mylę! — odparł starszy mężczyzna, uśmiechając się lekko. — Napewno się nie mylę... Tylko zechce pani wyzbyć się wszelkiej obawy...

— Ależ, mój mąż!... Niech pan idzie!... Nie... nie... Nie tu... Możemy umówić się gdzieindziej... Bo... rzeczywiście...

Z jej ust wypadały słowa bezładne, a swą postacią zagradzała nieznajomemu drogę, bo wydawało się jej, że zdradza widoczną chęć znalezienia się wewnątrz mieszkania. Cóż teraz pocznie?... Tego tylko brakowało... Napewno jakiś szantaż...

On tymczasem, snać przybywszy w zgóry określonym celu, nie dawał się zbyć byle czem i w dalszym ciągu nalegał:

— Nie zechce mnie pani zaprosić na chwilę do siebie? Wiem, że męża w domu niema, bo widziałem go przed chwilą na ulicy... A na schodach gawędzić trudno...

Wszystko przewidział, wszystko wywąchał. Śledził zapewne Ignacego. A tu naprawdę jaki sąsiad może stać się świadkiem dwuznacznej rozmowy.

— Niech pan wejdzie! — szepnęła.

Nieznajomy, jakby z góry był przekonany, że Lenka w taki sposób postąpi, wszedł pewnie do przedpokoju, tam spokojnie zdjął paltot i podążył wślad za nią do saloniku.

— Panie! — rzekła z tłumionym gniewem w głosie, nie zapraszając go nawet, aby zajął miejsce. — Nie mogłam się sprzeczać na schodach. Ale teraz oświadczę szczerze. Cokolwiek pana sprowadza, postąpił pan jak człowiek niedelikatny, wdzierając się przemocą. Zresztą — tu zadźwięczała odrobina lęku — nie znam celu tej wizyty, a nawet nie pojmuję. Jeśli pan przypadkowo zdobył mój adres, w niezrozumiały sposób.

Ogarniało ją coraz większe zmieszanie. Żałowała teraz, iż nie zamknęła mu drzwi przed nosem, twierdząc, że wcale go nie zna i nigdy się nie spotkali. Lecz on występował z takim tupetem, łatwo mógł wszcząć awanturę. Co dalej? Pójdzie na wszelkie ustępstwa, byle się pozbyć intruza, zanim mąż powróci.

Niezwykle podniecona, oczekiwała na odpowiedź swego kompromitującego gościa.

Tymczasem starszy, elegancki pan spoglądał na Lenkę z uśmiechem, nie zdradzając wrogich zamiarów. Wreszcie wypowiedział:

— To pani tak mnie przyjmuje?

— Jakżeż inaczej mam przyjąć.

— Nie prosi pani wcale, abym usiadł. A ja się bardzo cieszyłem na tę wizytę.

— Ładna wizyta! — oburzyła się — sam pan wie w jakich poznaliśmy się okolicznościach. Zdaje się nie zaciągnęłam żadnych obowiązków względem pana. Raczej starałam się, ze zrozumiałych względów, zachować incognito... Mam wielki żal do Helmanowej, że zdradziła moje nazwisko...

— To nie Helmanowa!

— Nie Helmanowa? Skąd pan tu trafił? Toć mówiłam wyraźnie, iż przejazdem bawię w Warszawie... Śledził mnie pan?

— Nie śledziłem!

— Więc?

— Wykryłem przypadkowo!...

Starszy pan przybrał minę tajemniczą. Lenkę ogarniało coraz większe zdenerwowanie.

— Przypadkowo, czy też od Helmanowej — zawołała — na jedno wychodzi!... Ale może dowiem się nareszcie, jaki jest cel tych odwiedzin...

— Pragnąłem panią ujrzeć!

— Ujrzeć mnie?

Zmienił całkowicie ton, a serdeczne nuty zabrzmiały w jego głosie.

— Pani Lenko! — odezwał się serdecznie. — Jeśli w nieco obcesowy sposób pozwoliłem sobie pani złożyć wizytę, to tylko dla dobra pani...

— Mojego dobra.

— Wiem, że jest pani w pożyciu małżeńskiem nieszczęśliwa... Że wielu rzeczy jej brak i dla tego odwiedza Helmanową... A uczyniła pani na mnie wówczas wrażenie wielkie. Otóż przyszedłem prosić... Niech pani nadal się nie marnuje. Salony „Helwiry“ to bardzo niebezpieczna droga... Ja, natomiast, gdyby pani zechciała...

Z piersi Lenki wydarło się prawie głośne westchnienie ulgi. Ulgi i dumy. Więc przygodny kochanek przybywając, nie miał na celu, ani chęci szantażu, ani też wyrządzenia jej przykrości. Przybył wyłącznie przez przywiązanie do niej, bo uczyniła na nim tak silne wrażenie? Specjalnie ją szukał? I to właśnie w takiej chwili, gdy dalsze pożycie z mężem wydawało się nie do zniesienia, gdy marzyła o tem, aby uciec z domu? Lecz cóż za lekkomyślność ją w ten sposób nachodzić. Czyż nie mógł zawiadomić inaczej.

— Panie! — odrzekła, nieco wzruszona, przypominając sobie różne zdania z przeczytanych romansów, aby odpowiedzieć z należytą godnością. — Umiem ocenić prawdziwą przyjaźń... i prawdziwe uczucie. Musi panu zależeć na mnie, skoro się zdobył na podobny krok.

— Oczywiście...

— Ale jak można mnie narażać na podobne przykrości. Toć nie jest pan młodzieniaszkiem. Nie kocham zbytnio mojego męża, ale muszę się liczyć. Na szczęście, niema go w domu, ale lada chwila powróci. Proszę odejść

natychmiast, a umówimy się na inny dzień... Wtedy swobodnie wypowie mi pan to, co obecnie zamierzał powiedzieć.

— Jeszcze chwilka...

— Kiedy doprawdy się lękam...

Może mimo wyraźnej obawy, wysłuchałaby jednak Lenka dalszych wyznań swego adoratora, bo każda kobieta lubi wielce wyznania miłosne i długo na nie czekać nie chce, gdyby w tejże sekundzie nie rozległy się podejrzane szmery w przedpokoju. Ktoś otwierał zatrzask z klucza. To pan Ignacy, nie zastawszy w domu starej Korskiej powrócił wcześniej, niźli zamierzył powrócić.

— Mąż! — wyszeptała z trwogą. — Zgubił mnie pan! Co teraz zrobię...

— Mąż? — powtórzył.

— Tak! Niech pan natychmiast wymyśli, jaki możliwy pretekst... Jaki fikcyjny interes...

— Och, to pójdzie łatwo!

Mimo całego spokoju i pewnej miny swego adoratora, Lenka z drżeniem oczekiwała na dalszy przebieg wypadków. Powierzchowność gościa wzbudza zaufanie, ale czy potrafi się wyłżeć, wykręcić... A Ignacy jest taki podejrzliwy. Zrobi jeszcze skandal. Pocóż, ten warjat ją wpakował w podobną sytuację...

Bełkocząc jakieś słowa bez związku, aby upozorować towarzyską rozmowę, wpijała się wzrokiem w kierunku drzwi.

Istotnie, niezadługo w ich obramowaniu, ukazała się postać Okońskiego. Przystanął zdziwiony na widok

nieoczekiwanego gościa, a jego twarz przybrała wyraz niezmiernego zdumienia.

— Pan właśnie... — poczęła Lenka.

Ale Okoński nie giął się, ale płaszczył wprost w niskich ukłonach.

— Pan Dyrektor! Pan Dyrektor Horwitz! — mamrotał. — Co za honor, co za cześć!... Lenko, sam pan naczelny dyrektor zaszczycił nas wizytą, a ty nie prosisz nawet, aby zajął miejsce... Zechce pan darować, panie dyrektorze, ale ona posiada tak mało towarzyskiej ogłady...

— Napróżno obmawia pan swoją żonę — trochę ironicznie zadźwięczał głos zwierzchnika pana Ignacego. — Pani Okońska jest szalenie miła...

Lenka wyprostowała się, obrzucając swego małżonka wzrokiem pełnym triumfu, zmieszanego z niekłamaną pogardą.

*Tekst jest **własnością publiczną** (**public domain**). Szczegóły licencji na stronie autora: Stanisław Antoni Wotowski.*

ROZDZIAŁ VII.

Matka i córka.

Helmanowa zdradzała od dłuższej chwili wyraźne oznaki niezadowolenia.

A niezadowolenie potęgowało się im dłużej trwała rozmowa... Więc jej córka...

Również siedzącej naprzeciw, w wytwornym saloniku szefowej „Helwiry“, Hance Gliniewskiej, wystąpiły na policzki rumieńce i błyszczały oczy... Skromna sylwetka panny odcinała się ostro od luksusowego, kokociego otoczenia, a wzrok błądził z źle tajoną pogardą po przeróżnych cackach, zapełniających buduarek.

Wreszcie dojść musiało pomiędzy niemi do tych wyjaśnień...

— Więc pragniesz przyjąć posadę — zaczęła pierwsza Helmanowa.

— Tak...

— Panny sklepowej?... może służącej? — gniewnie nuty zabrzmiały w głosie.

— Jaką mi się uda otrzymać...

— No... no... Piękne postanowienie... Na tom na twoją edukację wydała tyle pieniędzy? Wolnoż zapytać, co cię skłania do podobnego kroku?

— Chcę pracować i na siebie zarabiać...

Właścicielka salonu mód „Helwiry“ zapaliła papierosa, a ubrylantowane palce zgniotły nerwowo zapałkę o popielniczkę.

— Czemuż to? Zdaje się, na brak pieniędzy narzekać nie możesz...

— Nie lubię przyjmować pomocy.

— Od matki?...

— Nawet od matki!

Helmanowa bystro spojrzała na córkę, poczem energicznie wyrzekła:

— Słuchajno, Hanko! Przestań kręcić i mów wyraźnie, o co ci chodzi, a nie bąkaj półsłówkami... Doprawdy, od pewnego czasu zmieniłaś się nie do poznania...

— Bo ja wiem...

Hanka opuściła wzrok do dołu.

Miałaż powiedzieć, że dopiero od paru tygodni fach haniebny matki stał się dla niej jasny i że początkowo uczyniło to na niej takie wrażenie, iż myślała o samobójstwie? Że mierzi ją obecnie każdy grosz pochodzący z tego źródła. Że sama obecność w tym domu sprawia obrzydzenie... Że choć od matki nie zaznała nic prócz dobroci, pragnęłaby odsunąć się teraz jak najdalej...

Aczkolwiek głośno nie padły te słowa, właścicielka „Helwiry“ z wrodzonym sobie sprytem, znakomicie odczuła, co się w duszy córki dzieje. Któż mógł tej małej podobnych głupstw naopowiadać i ją uprzedzić? Mniejsza z tem. Bomba musiała pęknąć prędzej czy później... A jej to rzecz, wszystko przedstawić w należytem oświetleniu i smarkatej przemówić do rozumu.

— Sama przyznajesz — oświadczyła — iż zaszła jakaś zmiana... Zmiana tem bardziej dla mnie nie zrozumiała, że gdy odwiedzałam cię zagranicą, nasz stosunek stale był serdeczny.

— Och, serdeczny...

W oczach Hanki zabłysły łzy. Tem straszliwsze nastąpiło rozczarowanie... Czyż mogła kiedy przypuścić, że ta matka, hojna i wytworna, której jej tak zazdrościły biedniejsze koleżanki, a której każde odwiedziny były jednym ciągiem zabaw i wesela, jest właśnie...

— A ja cię tak kocham, Hanko! Czyniłam dla ciebie poświęcenia i pragnę, aby ci nigdy niczego nie zabrakło w życiu... Tyś moja wymarzona księżniczka.

Tym razem nie kłamała ta do szpiku kości zepsuta, oschła i wyrachowana kobieta. Hanka była jej wszystkiem. W jej osobie pragnęła sobie wynagrodzić poniżenia i przykrości doznane, jej przyszłość wydawała się jakby własną świetną przyszłością.

Toć ojcem dziewczyny był prawdziwy hrabia, a dziewczyna sama, nie wiedząc o tem, wziąwszy po nim rasę, zasługiwała na los hrabianki. A gdy ten arystokrata, znużony paroletnim stosunkiem z Helmanową, rozstał się z nią, zakupując na pożegnanie skromny sklep modniarski. Czyż nie uczyniła, co było w mocy, byle brud zdala pozostał od dziecka. Bo szybko wpadłszy na „genjalny“ pomysł zamienienia modniarskiego zakładu na „intratniejszy interes“ — wywiozła Hankę zagranicę, aby ta nie dowiedziała się o jej niewyraźnych aferach. Zmieniła nawet prawdziwe nazwisko Gliniewskiej na Helmanową,

by na nazwisku córki nie pozostała plama. Tak szły lata. Właścicielka salonu mód „Helwira“ porastała coraz więcej w piórka — a gdy Hanka miała powrócić z zagranicy, zamierzyła nawet całkowicie zlikwidować swe sprawy. Jeśli nie nastąpiło to dotychczas, przyczyny należało szukać w chciwości Helmanowej. Tyle było napiętych „kombinacji“ — czemuż jeszcze nie zaokrąglić zebranego kapitału, a sam „salon“ sprzedać z dobrym zarobkiem? Miesiąc... dwa...

To też, wynająwszy dla dziewczyny na drugim krańcu miasta mieszkanie i osadziwszy ją tam pod opieką starej kuzynki, sądziła, że Hanka nie bywając nigdzie, niczego się nie domyśli i cały plan znakomicie zostanie przeprowadzony do końca. Toć ona jest tylko właścicielką wielkiej firmy, a córka chwilowo zamieszkać u niej nie może, gdyż lokal jest szczupły i na to nie pozwala... I ten plan miał zostać rozbity? Kto uprzedził Hankę? Właśnie, gdy już zakończyć się miało, gdy pertraktacje o pozbycie się „Helwiry“ zostały rozpoczęte, gdy nawet chciała „odprawić“ Tolka, zamienić się w stateczną matronę, osiąść może w jakim innem mieście z córką, tam bogato wydać ją zamąż.

Niemożebne... Co teraz zrobić? Wyznać prawdę?... Przemówić do rozsądku... Toć ostatecznie Hanka jest jej dzieckiem i pojąć powinna, że pieniądz to taka potęga, że zdobyć zań można, co tylko się chce, niezależnie od źródła, z jakiego pochodzi...

— Moja kochana — wyrzekła — po chwili zastanowienia. — Powstały pomiędzy nami jakieś kwasy i nie mogę doszukać się ich źródła... Oświadczasz, że

pragniesz pracować, że szukasz posady, że przykrą ci jest moja pomoc... Dotychczas mowy nie było pomiędzy nami o podobnych rzeczach... Wiesz, że nie jestem bogata, ale na tyle zamożna, aby ci nigdy nie zabrakło niczego... Skąd te niezrozumiałe kaprysy... Co moje, to twoje...

— Właśnie, nie chcę tego, matko.

Helmanowa drgnęła.

— Czemu?

Hanka dłużej nie umiała udawać. Jakimś, z głębi piersi, zduszonym, bolesnym głosem wyrzuciła:

— Bo odrazą mnie napawają te pieniądze.

— Odrazą cię napawają moje pieniądze?

— Tak!

Twarz Helmanowej pociemniała.

— Oszalałaś?

— Znam źródło, skąd pochodzą...

— Źródło, skąd pochodzą? — z pasją wykrzyknęła Helmanowa — Z uczciwej pracy... Zaczęłam od maleńkiego sklepiku, a doszłam do posiadania wielkiej firmy... Nigdy nie oszukałam nikogo... Jak śmiesz w podobny sposób do mnie się odzywać?

— Niestety, również wiem, co się pod tą firmą ukrywa?

Wymówiwszy cicho te słowa, Gliniewska utkwiła wzrok w puszystym kobiercu, zaścielającym podłogę, jakby ją nagle zainteresowały zdobiące go barwne wzory. Zaraz nastąpi to, co oddawna musiało nastąpić... Właściwie na decydujące wyjaśnienie przygotowuje się od dawna, a ostatnie wypadki przyśpieszyły tylko tę chwilę... Szczególniej, po rozmowie z Fredem. Toż specjalnie w tym

celu tu przyszła i dalej zwlekać nie chce...

Również Helmanowa pojęła, że nadal nie uda się zbyć córki ogólnikowemi frazesami. Najwięcej ją obecnie korciło, kto mógł w tych sprawach poinformować Hankę i głupstw jej naznosił...

— Odzywasz się do mnie więcej niż dziwnie! — ostro wyrzekła — Dajesz do zrozumienia, że moje pieniądze pochodzą z nieczystego źródła, że pod moją firmą coś niewyraźnego się ukrywa?... Chyba pojmujesz doniosłość podobnych zarzutów... Mam prawo żądać, abyś wytłumaczyła natychmiast, co to znaczy... Jakiż to kretyn ośmielił się moją osobę przed tobą oczernić... I ty mu uwierzyłaś? Sądziłam, że lepsza z ciebie córka!

Hanka zebrała całą moc ducha.

— Nikt nie oczernił! — jęła mówić z początku spokojnie, a później w miarę swych słów, zapalając się coraz bardziej — Nikt... Sama doszłam.. I to było najstraszniejsze... Była to męka niewypowiedziana... Jakbym musiała własnemi rękoma kopać mogiłę dla najdroższej istoty, strącać w przepaść niedościgniony dotychczas ideał... O, bo wszystkiem byłaś dla mnie matko!... Najpiękniejszą, najszlachetniejszą, najlepszą istotą... Kiedyś rok rocznie spędzała lato wspólnie ze mną zagranicą, szczyciłam się tobą, zadusiłabym każdego, kto nie uznałby, że jesteś najdoskonalsza na świecie... Wśród długich nocy, trawionych nad książkami, jedynem mojem marzeniem było stać się mądrą, posiąść mocny, prawy charakter, aby upodobnić się do matki... Ty wydawałaś mi się taka czysta, taka daleka od wszelkiego brudu... I pod

wpływem tego, ulepionego w mej wyobraźni obrazu, odpadło odemnie wszystko poziome... wstrętem mnie napawał widok zgnilizny życia... — Tymczasem...

— Tymczasem? — Helmanowa opuściwszy głowę, chcąc ukryć mimowolnie ogarniające ją wzruszenie, nerwowo skubała palcami brzeg batystowej chusteczki. — Tymczasem?...

— Powrót do kraju spowodował ten przełom... Począł mi się nasuwać szereg zapytań, nad któremi dotychczas nie zastanawiałam się nawet na sekundę... Dlaczego nie mieszkamy razem? Dlaczego przybierasz inne nazwisko, gdy w Szwarcarji byłaś Gliniewską? Czemuż niezadowolona, jeśli niespodziewanie cię odwiedzę i tak prędko stale pragniesz się mnie pozbyć z „Helwiry“, matko... Kim, wreszcie był mój ojciec, o którym nic mi nie wiadomo...

— Nie mogłaś się do mnie zwrócić, po wyjaśnienia?

— Czyż nie zapytywałam cię, matko?... Odpowiadałaś mi stale w sposób, tak nieokreślony, iż to niepokoiło bardziej jeszcze... I podniecało ciekawość... Niby bohaterka sensacyjnej powieści, stanęłam przed dręczącą zagadką, jakiej nie umiałam rozwiązać... Nie mogłaś ze mną wspólnie zamieszkać, bo na to nie pozwalała szczupłość twego lokalu, a wszak „Helwira“ zajmowała szereg salonów... Zmieniłaś nazwisko, gdyż ci to ułatwiało sprawy handlowe, a przecież dobrze prowadzona firma tylko zaszczyt przynosi nazwisku... Nie mogę bywać często w „Helwirze“, gdyż ci przeszkadzam w zawodowych sprawach, a najprostsze przecież było mnie tam wciągnąć,

jako twoją zastępczynię i pomocnicę... w pozornie świetnie prosperujący interes „konfekcyjny“?

Czemuż te wszystkie zastrzeżenia? Czemuż bawiąc zagranicą, — gdzie zdala byłam trzymana od wszelkich twoich spraw, nigdy nie wspominałaś, że masz salon mód, raczej dając do zrozumienia, iż jesteś kapitalistką, a po ojcu pozostał znaczny majątek... Och, dalej nie śmiałam nalegać i cię zarzucać zapytaniami... Ale w duszy mej zrodził się potężny niepokój... Aż wreszcie przyszedł ten dzień... Niechaj on będzie przeklęty... Nie rozumiem, jak przeżyłam tę chwilę...

— Cóż takiego? — głucho wymówiła Helmanowa.

— Pamiętasz, może dwa tygodnie temu... Po raz pierwszy zdecydowałaś się ze mną pokazać publicznie, czego przedtem nie czyniłaś nigdy, a co niemało mnie martwiło, bo sądziłam, że mnie się wstydzisz... Pojechałyśmy wówczas do teatru...

— Samaś o to prosiła! Lecz cóż ma teatr do tych posądzeń? — mruknęła znowu Helmanowa ze zdziwieniem.

— Posądzenia zamieniły się w pewność! — Hanka mówiła teraz coraz ciszej, coraz boleśniej — W pewność!... Po długich więc namowach ustąpiłaś i znalazłyśmy się w teatrze... Choć siedziałyśmy w loży, zastanowiło mnie, czemu wiele osób w antraktach uporczywie nam się przypatruje, a mężczyźni zamieniają pomiędzy sobą dwuznaczne uśmiechy... Nic nie rozumiałam... Czemuż na mnie zerkano tak dziwnie, czemuż w twoją stronę szły ironiczne spojrzenia... Bo jeśli w pierwszej chwili mogłam

sądzić, że podobną uwagę wywołuje twój strój, lub moja powierzchowność, rychło doszłam do przekonania, że musi tu chodzić o coś innego.. Byłaś ubrana więcej niż skromnie, ja napewno również nie wywoływałam swą twarzą podobnej sensacji... Więc co to miało oznaczać?... O czem szeptano tam na dole?

— Pocóż ci ustąpiłam? — jęknęła Helmanowa — O, dobrze widziałam spojrzenia tych durniów! Lecz nigdy nie przypuszczałam, że cię to uderzy..

— Uderzy? Siedziałam, niczem na szpilkach, z niemem zapytaniem w oczach, skierowanem w twoją stronę. Ale od ciebie nie otrzymałam odpowiedzi... Nastąpiła ona prawie natychmiast, lecz w jak ohydny i brutalny sposób... Och, o ileż wolałabym, abyś z tą straszliwą rzeczywistością sama mnie zapoznała, matko... Bo gdy obie, po ukończeniu przedstawienia zstępowałyśmy po schodach, nagle dwóch panów bezczelnie zajrzało mi w oczy, a jeden z nich prawie głośno coś tak potwornego wypowiedział, że z trudem przez gardło mi przejdą te wyrazy...

— Mów! — warknęła właścicielka Helwiry — Dziwne, że nic nie spostrzegłam z tej sceny?

— Bo szłaś przodem... Powiedział... powiedział... — głos Hanki tłumiły łzy — ...Powiedział: „znów ta Helmanowa prowadzi nową ofiarę... Ładna dziewczyna, ale głupia, że dała się zmanić do domu schadzek... Gdzież podobne dzierlatki wyszukuje ta wstrętna...“ i tu dodał określenie... tak niesłychane, że przez gardło mi nie przejdzie... Tak... tak nazwał ciebie... moją matkę... Moje niedawne bóstwo... Och, jakżeż ja to przeżyłam... prze....

ży... łam!...

Głos Hanki załamał się raptownie i wybuchnęła głośnym płaczem.

— Ale przeżyłam — dodała po chwili, łkając — i... pojęłam... wtedy wszystko...

— Ach!.... — zawołała Helmanowa, uderzając się w czoło.

— Przypominasz sobie, jaka byłam, powracając do domu w samochodzie, zmieszana, zaczerwieniona, w oczach kręciły mi się łzy... Pamiętasz?... Śmiałaś się wówczas, gdym nie chcąc się zdradzić z tem, co wiem, na twoje zapytania odrzekłam, że sztuka — banalny i płaski dramat — uczyniła na mnie podobne wrażenie... Śmiałaś się, nazywając przeczuloną dziewczyną... Lecz dziś...

Urwała — a w saloniku zaległo ciężkie milczenie. Mimo, że potoki elektrycznego światła zalewały pokój, zdawało się, że dokoła nawet sprzęty i cacka zszarzały i zbladły. Raził teraz, pod wpływem słów Hanki, ten bezczelny dostatek, ten luksus kokoci, przejawiający się w najmniejszym drobiazgu urządzenia, a w powietrzu niby zawisło groźne zapytanie — „zdaj sprawę, odpowiedz za jaką cenę, jaką drogą to zdobyte?“

W Helmanowej grały zmieszane uczucia. Przedewszystkiem wściekłości na tych, którzy w tak brutalny sposób otworzyli oczy jej dziecku. Golcy... Błazny... Napewno żaden z nich nie był w jej salonach, a śmieli ją błotem obrzucać. Ta Warszawa jest w gruncie straszną dziurą i „interes“ najlepiej zakonspirowany długo nie da się ukryć. Nie potrzebnie ustąpiła prośbom Hanki,

udając się z nią do teatru. Toć z góry powinna przewidzieć, że gdziekolwiek ukaże się, towarzyszą jej dwuznaczne uśmiechy, do których już dawno przywykła. Lecz z Hanką, co innego... Dalej ogarniała Helmanową złość na samą siebie... Zawcześnie zgodziła się na powrót dziewczyny... Lecz trudno było postąpić inaczej. Hanka tak się uparła, tak mocno nalegała, iż chce znaleźć się w kraju, iż żaden nie nasuwał się pretekst, mogący wytłumaczyć dalszą zwłokę... Lecz pocóż ją umieściła w Warszawie? Tu właścicielka „Helwiry“ zagryzła niecierpliwie wargi... Ona, taka sprytna zazwyczaj, mogła popełnić błąd podobny? Tak omylić się co do osoby córki, sądząc, iż jest to naiwne dziecko, niezdolne do bystrzejszych spostrzeżeń, które zadowoli się byle wykrętem i prawdy nie zechce dociekać? A tymczasem Hanka niby najzdolniejszy detektyw dotarła do sedna rzeczy. A ona mniemała, że umieściwszy Hankę na Długiej ze starą kuzynką, wszystko zostało obmyślone znakomicie... Że dziewczyna przyjmie za dobrą monetę wykrętne tłumaczenia, uwierzy w salon mód i będzie siedziała spokojnie, póki Helmanowa swych spraw nie zakończy... Niczego się nie domyśli, zanim firma nie zostanie sprzedana, a Tolek odprawiony z kwitkiem...

Lecz skoro raz bomba pękła, należało jakoś wybrnąć z sytuacji. Może i lepiej się stało... Świat jest taki mały, że gdziekolwiek Hanka znalazłaby się, mogły do niej dotrzeć złośliwe słuchy. Teraz tylko chodzi o to, aby ją przekonać, zręcznie ukrywając część prawdy. Tak przedstawić rzeczywistość, aby Hanka pojęła, że w gruncie rzeczy nic strasznego się nie stało, a majątek nakazuje respekt wielu

językom.

To też ze zwykłą przebiegłością poczęła tłumaczyć:

— W rzeczy samej, Hanko, winna ci jestem wyjaśnienie i sądzę, że jeśli je posłyszysz, wszystko co tak cię razi, przedstawi się w innem świetle... Nie czyniłam tego dotychczas, bo są sprawy, które boleśnie jest dotykać... Pragnęłam odsunąć od ciebie zgniliznę życia, lecz obecnie musisz ją poznać... Wtedy zrozumiesz, czemu wiele spraw ukrywałam przed tobą...

Hanka uniosła do góry główkę, którą dotychczas trzymała opuszczoną na piersi, a w oczach, pełnych jeszcze łez, zaświtała iskierka nadziei. Czyżby?... Tymczasem Helmanowa mówiła:

— Przedewszystkiem zadałaś mi zapytanie, kim był twój ojciec i czy naprawdę umarł on dawno... Jest to jedna z największych tragedji, jakie przeszłam... i lepiej może stałoby się, gdybyś zadowolniła się tem, co wiedziałaś dotychczas... Twój ojciec nie był... moim mężem... i gdy przyszłaś na świat, porzucił mnie... prawie bez środków do życia...

— Ach... — westchnęła cicho Hanka.

Choć prawda przedstawiała się w rzeczy samej w ten sposób, że Helmanowa dzięki narodzinom córki, wypruła z „hrabiego“ wcale pokaźną sumkę i pozostała znakomicie zabezpieczona — widząc jakie wrażenie to wyznanie uczyniło na Hance, bezczelnie kłamała dalej:

— W jakiej sytuacji się znalazłam zbyteczne ci chyba tłumaczyć... Odsuwano mnie od wszelkiej pracy, niemal jawnie pogardzano, pod pozorem, że cięży na mojej osobie

niestarta plama... Aby nie umrzeć z głodu jęłam się krawiectwa... — tu mimo całego tupetu Helmanowa zakrztusiła się trochę — jakoś mi poszło... Orałam dniami i nocami, z początku, aby nas wyżywić, później, aby odłożyć na czarną godzinę... Zdobywałam coraz większą ilość klijentek... aż wreszcie, dzięki oszczędnościom, mogłam nabyć początkowo skromny sklepik... I teraz muszę ci wyznać mój grzech najgorszy — właścicielka „Helwiry“ jęła zręcznie dobierać słowa, zerkając na Hankę, jakie one wywierają skutek. — Grzech najgorszy... Poniewierana i odtrącana przez ludzi, pojęłam potęgę pieniędzy.. Postanowiłam wtedy za wszelką cenę je zdobyć, aby się uniezależnić, a ciebie wychować na księżniczkę... Zaczęło się od drobnych pożyczek, udzielanych klijentkom... Oczywiście na dobry procent. W taki sposób kapitalik mój wzrastał... i chcąc ci zapewnić los, który nie stał się moim udziałem, wywiozłam cię zagranicę... Ja tu pracowałam dalej, aż sklepik przemienił się w „Helwirę“ i zdobyłam majątek... Bo nie jestem biedna, powiem ci szczerze Hanko i ty możesz uchodzić za wcale posażną jedynaczkę...

Twarz Hanki nie drgnęła. Helmanowa, tłumacząc sobie jej milczenie trafnością swych argumentów, postanowiła ją omotać wykrętami ostatecznie.

— Tak więc się przedstawiają moje losy — wyrzekła z miną ofiary — a wnet się przekonasz jaka ta Warszawa jest złośliwą i jaką mi urobiono opinję... Niejedna z moich klijentek, będąc mi winna pieniądze, a nie mogąc ich oddać w terminie, popełniała różne... hm... „lekkomyślności“, które później szły na mój karb. Niejedna, naciągnąwszy

mnie ordynarnie, opowiadała później, że to ja miałam ją namawiać do niewyraźnych postępków, pragnąc rychlej odzyskać mój dług... O bo, nie znasz przewrotności kobiecej i potęgi obmowy, która panoszy się w naszem mieście, gdzie stale z igły wykuwają widły... Oto cała prawda... Dalej jest prawdą, że znudzona ciągłemi plotkami i szkalowaniem, postanowiłam „Helwiry“ się pozbyć i w tych dniach ją sprzedaję. Wobec tego nie chciałam, abyś zamieszkała u mnie, gdyż salonu mód dalej prowadzić nie zamierzam, w firmie nie możesz mi być pomocna i rychło stąd się wyprowadzę... Teraz chyba pojmujesz?... Prócz tego chciałam cię uchronić od plotek, lecz i tak one do ciebie dotarły... Może po tem wyjaśnieniu innemi oczami spojrzysz na matkę, należycie ocenisz, ile w tem wszystkiem jest prawdy i co może złość i zazdrość ludzka...

Żadna aktorka nie potrafiłaby tak świetnie odegrać swej roli, niźli uczyniła to Helmanowa. Wypieki, rzekłbyś niekłamanego oburzenia, wystąpiły na policzki, a palce nerwowo drżały. Jednocześnie szybkie, niby żmije, spojrzenia biegły w kierunku Hanki, sądując ją do dna. Nic dziwnego, szła tu poważna walka o przyszłość, o córkę. Ta nadal milczała, głęboko zamyślona, widocznie rozważając każde z posłyszanych słów.

Czyżby nie zdołała jej oszołomić i przekonać? Czyż niebywale zręczne pomięszanie faktów, w którem cząsteczka prawdy przeplatała się z tysiącem kłamstw, nie osiągnęło celu? Czyż rzucenie na samą siebie oskarżenia o chciwość pieniężną, tłumaczącego zawistne gadaniny ludzkie, nie miało na widoku, trafienia do serca Hanki?

Czyż nie mówiło wyraźnie — w gruncie nie uczyniłam nic złego, a jeśli nawet uczyniłam, to dla ciebie Hanko, a ty za to winnaś stanąć przy moim boku, nie zważając na plotki i oszczerstwa. Wszak mnie nie opuścisz?

Lecz usta Hanki nie rozwarły się, by rzucić niecierpliwie oczekiwane zdania. Niestety — wyjaśnienie matki, będące ostatnim złudzeniem, ostatnią deską ratunku, całkowicie zawiodło — a jej duszy, nie znoszącej kompromisów, nasuwała się tylko jedna odpowiedź.

Helmanowa postanowiła przyśpieszyć rozwiązanie.

— Milczysz?

Nie patrząc na matkę, powoli wyrzekła, jakby jakiś głos wewnętrzny za nią przemówił.

— Brudne są te pieniądze...

Helmanową aż poderwało do góry. Daremne były dotychczasowe perswazje? Daremne delikatne, a możliwe do przyjęcia tłumaczenia, pozwalające córce, przy dobrej woli, przymknąć oczy na przeszłość? Pobłądziła wielce, wychowując dziewczynę tak, jak ją wychowała i pozwalając, aby w podobny sposób ukształtował się jej charakter. Lepiej było trzymać ją przy sobie i ukształtować na własne podobieństwo. Czyż teraz za późno? Nie, wygra najpotężniejszy atut, który nigdy nie zawodził. Olśni bogactwem, dostatkiem. Narysuje zawrotny miraż przyszłości... Ta wędka nie zawiodła ją z żadną z kobiet, a tyle ich przez salony „Helwiry“ przeszło i Hanka przecież jest kobietą, nie sposób, aby oparła się pokusie — a wówczas zdobędzie ją z powrotem, stanie się ona naprawdę jej córką.

— Pieniądz nie bywa, ani czysty, ani brudny! — wymówiła energicznie, zrzucając maskę. — Pieniądz jest potęgą, z którą się liczą wszyscy, niezależnie od źródła z jakiego pochodzi... Dziwnie rozumujesz, Hanko... Raz jeszcze ci powtarzam, że źródło mojego majątku nie jest tak straszne, jak nadal przypuszczasz... Nie wierzysz? Mniejsza o to... Ale bądź łaskawa zastanowić się nad jednem... Zbierałam fortunkę dla ciebie i wyłącznie z myślą o tobie... Szaleństwem byłoby pogardzić tą mocą, jaką daję ci do rąk... Czy wiesz Hanko, że podczas, gdy inne kobiety ciężką pracą zdobywać muszą kawałek chleba, lub posuwać się do najprzeróżniejszych kompromisów, chcąc zadowolnić choćby najskromniejsze zachcianki, tobie niczego nie zabraknie, o nic się nie zatroszczysz?

Że podczas, gdy inne kobiety znosić muszą kaprysy mężczyzn, lub drżeć, by mąż ich nie porzucił, ty możesz wśród tych, którzy będą się ubiegali o twoją rękę, przebierać niczem w ulęgałkach i każdy będzie posłuszny twemu najlżejszemu skinieniu... Zapomnij o tem co było, zapomnij o idjotyzmach, jakie pleść mogą na mnie złośliwe półgłówki... Pamiętaj, żeś bogata, więc potężna i ten sam, który obrzuca mnie błotem, rozpłaszczy się nisko, gdy mu zechcę cisnąć paręset złotych. Takim jest świat, a nie inny... Ty zaś masz jeszcze bardzo mało doświadczenia i spoglądasz nań przez pryzmat wyniesiony z książek.

— Może...

— Więc przyznajesz mi rację... Skończmy tedy nareszcie tę przykrą rozmowę i rzućmy w niepamięć wszystko, co zepsułoby nasz dobry stosunek... Stale mieć we mnie

będziesz najlepszą z matek i przyjaciółek, dbałą o to, aby nie spotkała cię w życiu najmniejsza przykrość... A zawierz mojemu doświadczeniu... Potrafię cię od nich uchronić... Wzamian, żądam odrobiny przywiązania i serca... Toć za wszystko, co uczyniłam, Hanko, należy mi się chyba więcej ciepła od ciebie?... Znów milczysz?

— Bo... naprawdę...

— Pragniesz jeszcze się dowiedzieć, jak długo ma trwać obecny stan rzeczy, który ci jest tak niemiły? Więc pod słowem honoru zapewniam, że zlikwidowanie moich interesów nastąpi w ciągu najbliższych tygodni... Tydzień, dwa, najdalej miesiąc... Cierpliwości Hanko... Niechaj do tego czasu wszystko pozostanie pomiędzy nami po staremu, możemy nawet widywać się rzadko... A później wyjedziemy z Warszawy... Kupię w innem mieście, gdzie nas nikt nie zna, dom lub willę i tam zamieszkamy, otoczone powszechnym szacunkiem, zaś chwile, któreś obecnie przeżyła, wydadzą ci się tylko złym snem... Tam pomyślimy o twojej przyszłości... Znajdę ci męża, któryby cię uwielbiał i nosił na rękach... i spokojna spędzę przy was resztkę życia...

— Niestety! — wyrwało się niespodzianie Hance — męża już sama znalazłam... A właściwie, narzeczonego...

Helmanowa porwała się gwałtownie ze swego miejsca.

— Ty narzeczonego?

— Tak matko... Oto przyczyna, czemu rozchodzą się nasze drogi...

— Żartujesz?

— Wcale nie żartuję... Zostanę jego żoną... o ile... on...

dzięki reputacji... jaka nas otacza, się nie cofnie...

Helmanową porwała pasja.

— Ty?... ty?... poza mojemi plecami?... Niewinna, naiwna panna?... Teraz rozumiem, skąd bunty i górne tony... To on cię przeciw mnie tak usposobił?

— Mylisz się?

— Nie mylę się!... A... a... Ów smarkacz, który tu kiedyś przyleciał... za tobą!... A ja sądziłam, że to pijak... Ten sam błazen, z którym cię spotkałam wówczas na ulicy... A ty czelnie skłamałaś, że to kolega z Szwajcarji...

— Nie chciałam jeszcze nic mówić. Bo...

— Przez takiego chłystka pragniesz zerwać z matką?

— Nietylko przez niego! Postępuję, jak mi nakazuje sumienie...

— Ach, ty...

Przekleństwo zawisło na ustach Helmanowej, lecz wstrzymała się z całej siły. Doświadczenie nauczyło ją, że gniew bywa złym doradcą, a po tysiąckroć razy lepiej się wychodzi na przebiegłości i udawaniu. Jakiś obwieś przyczepił się do Hanki? Pragnie ją zabrać? O dużą stawkę chodzi, bo chodzi o przyszłość... W niezrozumiały sposób zawarł znajomość z tak dobrze ukrytą i strzeżoną dziewczyną? Cóż to znaczy? Hanka jest widocznie zupełnie inna, niż mniemała dotychczas... Lecz jeśli wybuchnie, zamknie się ona w milczeniu, lub odejdzie i Helmanowa niczego się nie dowie... A tu należy ostrożnie dojść po nitce do kłębka, wyświetlić, co to znaczy.

— Moja droga! — rzekła całkowicie zmieniając ton. — Nigdy nie było moim zamiarem stawać na drodze twego

szczęścia... Przykro mi oczywiście bardzo, iż działasz w tajemnicy przedemną... Trudno... pozwól mi raz jeszcze powtórzyć, że niedoświadczone z ciebie dziecko i łatwo możesz pobłądzić... Choć dążysz do wyraźnego ze mną zerwania, twój los napawa mnie trwogą i nadal jestem obowiązana troszczyć się o to, aby ci krzywda się nie stała... Kim jest ten pan?

— Student! — odparła, po chwili wahania Hanka.

— W jaki sposób go poznałaś? Przyzwoity człowiek?

— O bardzo...

— Czemuż źle wyraża się o mnie?

Hanka zdecydowała się na szczere wyznanie:

— Nie chcę, abyś mnie posądziła o niewdzięczność, więc wszystko opowiem... Wtedy zrozumiesz, że nasze drogi rozchodzą się ostatecznie... Zapytujesz, w jaki sposób go poznałam? Zapoznanie nasze nastąpiło przypadkowo... Kiedyś wyszłam późnym wieczorem z domu, aby przynieść lekarstwo dla ciotki Klary... W drodze powrotnej zaczepił mnie jakiś pijak. Nagle niby z pod ziemi wyrósł student, odepchnął awanturnika i stanął w mojej obronie... Tak zawarliśmy znajomość... a nazajutrz ów młody człowiek mnie odwiedził. Możesz słusznie mi zarzucić, że postąpiłam niewłaściwie, zgadzając się na te odwiedziny, a później ukrywając je przed tobą... Tak... Lecz zrozum, działo się to właśnie w tym okresie, gdy w mojej duszy zrodziły się pierwsze dręczące wątpliwości... Jakżeż mogłam postąpić inaczej? Odmówić memu wybawcy, by przybył ze zwykłą towarzyską wizytą? Przyzwyczajona do pewnej swobody zagranicą, nie uważałam, że coś złego się

stanie, jeżeli młody człowiek odwiedzi pannę, gdy ta stale potrafi utrzymać granice przyzwoitości... Przyznaję, spodobał on mi się bardzo... Natura prawa i szlachetna... I wtedy stanęło przedemną nowe zagadnienie... Czy wtajemniczyć go we wszystko? Pocóż? Czyż nie wyda mu się dziwne, że nie zamieszkuję razem z matką? Że moja matka nazywa się inaczej, nigdy się ze mną prawie nie widuje i pozornie mnie się wstydzi? Lepiej pozostać dlań studentką, będącą pod opieką starej ciotki, a nie narażać się na pytania, na które nie umiałabym nawet dać odpowiedzi... Tem bardziej, że nie sądziłam, iż powstanie pomiędzy nami coś więcej, niżli przyjaźń i zwykłe koleżeństwo... Gawędziliśmy o sztuce, o książkach... To też uprosiłam ciotkę Klarę...

— Przeklęta stara! — wyrwało się mimowolnie Helmanowej. — Bawiła się w sekrety! Już ja jej się odpłacę...

— Uprosiłam ciotkę Klarę, aby nic nie wspominała o tych odwiedzinach.... Mogłaś ich łatwo zabronić, a wszak to było moje jedyne towarzystwo i wiedziałam, że nie robię nic złego... A tymczasem te wątpliwości, te podejrzenia... Straciłam do ciebie zaufanie, matko... Aż wreszcie przyszła pewność... A wtedy...

— Wtedy...

— Uczyniło to na mnie tak okropne wrażenie, że myślałam o samobójstwie... Jednocześnie postanowiłam z nim zerwać, aby nie dowiedział się kim naprawdę jestem, a znajomość nasza pozostała w jego pamięci, jako ładne, nieskalane żadnym brudem, wspomnienie...

— Jakim brudem? — zawołała Helmanowa.

— On jednak — mówiła dalej Hanka, nie zwróciwszy na wykrzyknik uwagi i skracając szczegóły — mnie śledził... Zapewne powodowało nim uczucie... Dotarł w ślad za mną, aż do twoich drzwi...

— Acha...

— Przypuszczał — z trudem z jej ust wybiegały wyrazy — coś postokroć gorszego. Przypuszczał, że... Dopiero potem, gdyśmy nieporozumienie wyświetlili, zdecydowaliśmy...

— Pojmuję... Łącznie z nim działasz! — w głosie Helmanowej zazgrzytała ironja. — Zakochana parka obmyśliła wszystko!...

— Nie zaprzeczam — zabrzmiała spokojna odpowiedź — że przemyśleliśmy wiele!... On właściwie dodał mi otuchy i chęci do nowego życia, bo sama nie wiedziałam, co począć... Wydawało mi się, że każdy spoziera na mnie z pogardą, odsuwa niczem od trędowatej... Obawiałam się, że Fred mnie porzuci...

— Przywidzenia...

— Jednak obawiałam się... Dopiero, gdy spotkaliśmy się nazajutrz i nie było już pomiędzy nami tajemnic, pojęłam, że liczyć nań mogę i powzięliśmy pewien plan... Począł tłumaczyć, że nie powinnam tracić nadziei, że moje życie ułoży się jeszcze, że nie ponoszę odpowiedzialności za winy niepopełnione i że nie wolno mi deptać uczucia... Bo on mnie kocha... Ja... wyznam szczerze... kocham go również.

— Kochasz ponad świat cały! — parsknęła Helmanowa,

nie starając się ukryć swego podrażnienia — Ślicznie! Winszuję! Ośmielę się zapytać na czem polegają te różowe plany?...

— Nie mam nic do ukrywania! On, to jest Fred... kończy prawo za parę miesięcy, prócz tego pracuje u adwokata, zarabia na siebie... Przyobiecał wynaleźć w przeciągu paru dni dla mnie posadę, zapewniającą samodzielny byt... Wiesz, jak skromne mam wymagania... on również nie przywykł do zbytku... Rychło więc, już nic nie będę potrzebowała od ciebie, matko. A skoro tylko urzeczywistnią się zamiary, pobierzemy się i jakoś sobie damy radę... Wierzę święcie w Freda i w siebie i przekonana jestem, że nie umrzemy z głodu...

— Pięknie, bardzo pięknie! — zjadliwie wyrzekła właścicielka „Helwiry“ — A wolno choć się dowiedzieć, jak brzmi nazwisko tego pana... mego przyszłego zięcia? Dotychczas tylko usłyszałam, że zwie się zdrobniale Fred, jest studentem i kończy uniwersytet.

— Niema sekretu! Mój narzeczony nazywa się Korski!

— Jak?

— Alfred Korski...

Helmanowa posiadała pamięć fenomenalną — zaletę niezwykle cenną w swym „fachu“ — a prócz tego o interesujących ją osobach bardzo szczegółowe wywiady.

— Korski? — mruknęła, jakby sobie coś przypominała — Z jakiej pochodzi rodziny? Są krewni w Warszawie?

— Owszem! — odparła szczerze Hanka, przed którą Fred nie czynił tajemnicy ze swych familijnych stosunków... — Zamieszkuje wraz z matką, starszą już

osobą, emerytką. Ta jednak napewno nie sprzeciwia się naszemu małżeństwu... Prócz tego ma siostrę zamężną...

— Za kim?

— Za jakimś urzędnikiem, Okońskim!... Nie poznałam jej dotychczas... Helena Okońska!... Fred zwykle zwie siostrę, Lenką...

— Acha! — błysk triumfu prawie niedostrzegalny przebiegł po twarzy Helmanowej.

— Czyżbyś ich znała? — zdziwiła się Hanka.

— Nie!... — odrzekła nieszczerze, kryjąc w głębi duszy zadowolenie z tak nieoczekiwanie zdobytej informacji — Nigdy nie słyszałam o Okońskich...

— Spodziewałam się tego! Pani Lenka jest podobno również skromna, jak i brat... Nigdzie nie bywa, nikogo nie odwiedza...

— Za wyjątkiem salonów firmy „Helwiry“! — o mało nie wymknął się cyniczny okrzyk, lecz Helmanowa powstrzymała się w porę.

Miałaż odrazu opowiedzieć córce wszystko? Miałaż się pochwalić, że jeśli na niej ciąży dwuznaczna opinja, rychło taka sama opinja otoczy i siostrę przyszłego męża? Miałaż w jej oczach zohydzać Lenkę, aby przez to Hanka nabrała wstrętu do pozostałej rodziny? Zbyt mądra była Helmanowa, aby nie wiedzieć, że ta droga nie doprowadzi do celu. Zebrane poufne wiadomości, nietylko o Okońskiej, ale i o jej najbliższych — a zbieranie szczegółowych wiadomości o „klijentkach“ należało do zwyczajów „szefowej“ i tylko dzięki temu „systemowi“ mogła swój proceder wiele lat prowadzić bezpiecznie — donosiły, że

brat Lenki jest chłopcem biednym, lecz bezwzględnie uczciwym... Chcieć podkopać weń wiarę, na zasadzie „lekkomyślnych“ postępków siostry, byłoby trudem daremnym.

Wywołałoby to tylko skandal, bo Hanka nie omieszkałaby wszystko powtórzyć — i jeszcze większa przepaść powstałaby pomiędzy matką, a córką...

O, nie! Ona postąpi inaczej. Skoro potężna broń została zdobyta, należy tę broń umiejętnie wykorzystać. Należy przeprowadzić intrygę niezwykle zręcznie, stworzyć takie pozory, aby Hanka nabrała sama obrzydzenia... I oto nie tylko do Lenki, lecz i do Freda... Aby stanęła niespodziewanie przed kałużą błota i stwierdziła, że ci, którzy najwięcej się na te błoto obruszają, sami tkwią w niem po uszy...

Tak... Zemsta zarysowywuje się jasno... A Helmanowa pragnie się zemścić za wszelką cenę... Mniej jest zła na córkę, która niepomna na wszystkie dobrodziejstwa, jakiemi ją obsypała, nie tylko gotowa ją porzucić dla pierwszego chłystka, ale bawi się jeszcze w „sądy nad nią“ i nauki moralne, co na tego smarkacza — przyczynę buntów, niesnasek i możliwego zerwania. Odruch „świętego oburzenia“ u Hanki powstał tylko pod jego wpływem. On jej chce wydrzeć Hankę... Zato go unicestwi, skompromituje... Nie wyrzeknie się dobrowolnie dziecka, stoczy ciężką walkę, choćby w tej walce miała się uciec do najpodstępniejszych sposobów... Na perswazje za późno, nic niemi nie poradzi, musi działać inaczej.

Byle zachować spokój i nie dać się unieść nerwom. Och,

choć wybuchnęłaby z gustem, komedję teraz zagra do końca.

— Skoro tak jest, jak mówisz — wyrzekła po dłuższej chwili milczenia — odnoszę wrażenie, że wybór twój trafny i napotkałaś uczciwego chłopca... Czy wyznaczyliście już datę ślubu?...

— Jeszcze nie!

— Oczywiście! — mówiła dalej, pozornie serdecznie, a czując w duszy ulgę, że ten termin nie taki bliski i zależy od wielu okoliczności... — Chcesz, abym ci w czem była pomocna?... Chętnie służę. Nie zapominaj, Hanko, że kocham cię nadal...

Hanka czuła się od paru sekund głęboko wzruszona. Jednak ta kobieta, o tak okropnej przeszłości, była jej matką... I to matką do tego stopnia oddaną, że wybaczyła wszystko, nawet brutalne słowa, jakie w rozmowie padły, nawet „zdradę“ i narzeczeństwo poza jej plecami zawarte... Byle ona, Hanka, była szczęśliwa!... Bolał ją prawie ten ogrom uczucia, na które nie wolno jej było odpowiedzieć.

— Niestety... — szeptała, zmięszana.

— Odrzucasz moją pomoc?... Trudno... Przygotowana byłam na te słowa... Ale jeszcze jedno...

— Słucham?...

— Czy zawiadomisz mnie o waszym ślubie? Czy później zezwolisz, abym was odwiedziła?

— Ślub urządzimy zapewnie bardzo cichy! — odparła wymijająco Hanka. — Co do odwiedzin...

— Nie życzysz sobie?

Serce Hanki ściskało się coraz mocniej...

— Mamo!... Zrozum... Może za parę lat... Niech trochę zapomną... Twierdzisz, że sprzedajesz „Helwirę“. Wyjedź na jakiś czas zagranicę...

Helmanowa rzuciła teraz zapytanie, od odpowiedzi na które zależał stopień jej zemsty.

— Nie chcesz mnie widywać?...

— Mamo...

— Nie uczyniłam ci przecież nic złego... Byłaś mojem umiłowanem dzieckiem... Zapewne wyjadę... Lecz zanim wyjadę, nie zajrzysz do mnie nigdy, nawet pokryjomu, w tajemnicy przed Fredem?

— Boże, jakie straszne... — Hanka przeżywała obecnie najprzykrzejszy moment rozmowy. O ile lepiej byłoby, gdyby matka wybuchnęła, obsypała potokiem wymówek, oskarżając o niewdzięczność.

— Więc? — właścicielka „Helwiry“ wpiła się wzrokiem w córkę.

— Nie wiem!... Nie wiem sama... Razi mnie to mieszkanie... Wszystko...

— Możemy się spotykać na mieście... W jakimś lokalu, gdzie nas nikt nie zna i nikt nie podpatrzy...

Hanka pojęła, że nie uniknie urażenia bolesnej rany i że odpowiedź musi paść kategoryczna.

Powstała z miejsca i nie patrząc na matkę, przytłumionym głosem wymówiła:

— Nie teraz... Mamo, nie męcz mnie... Dość jestem biedna... Świadomość naszego stosunku zatruwa mi nawet radość mego przyszłego związku z Fredem... Lecz jeszcze wszystko ułożyć się może... Nawet, gdybym nie miała

narzeczonego, wierz mamo, iż póki twoje sprawy nie zostałyby zlikwidowane, nie byłabym tutaj... Również nie przyjęłabym twej pomocy... Ale na dnie duszy tkwi resztka przywiązania... Wciąż pamiętać będę o matce, którą tak kochałam zagranicą, usiłując zapomnieć... o wrażeniach warszawskich... Tamta matka, może kiedyś powróci, lecz pod warunkiem, że będzie dawną matką i że nigdy grosza nie przyjmę z jej majątku... tak... Obecnie nie chcę cię dotykać... Nie chcę się zamieniać w twego sędziego... Modlić się tylko mogę, abyś przejrzała i wyzbyła się tego, co... w... taki przykry sposób zostało zdobyte... O, wówczas staniesz mi się z powrotem najukochańszą matką, będę cię broniła, gotowa będę nawet o ciebie pokłócić się z Fredem... Lecz teraz? Nie miej o to żalu... I zrozum... Nie możemy się widywać...

— Jak chcesz!... — cicho odrzekła Helmanowa, tłumiąc mimowolny grymas ironji, jaki zarysował się na twarzy. — Jak chcesz...

— Nie wolno mi postąpić inaczej...

Właścicielka „Helwiry“ dziwnie zerknęła na córkę. W jej głowie zarysował się już jasny plan dalszego działania.

— A jednak spotkamy się niezadługo! — mruknęła. — Prędzej, niż myślisz... Nie wiem tylko czy będziesz z tego zadowolona...

Tych słów jednak nie dosłyszała Hanka.

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Stanisław Antoni Wotowski](#).*

ROZDZIAŁ VIII.

Lenka staje się dumna...

Dyrektor Horwitz stale teraz odwiedzał Okońskich...

Jakby mu nie wystarczały spotkania z Lenką w jego kawalerskiem mieszkaniu, pragnął ją widzieć często, być razem. Namiętność, im w starszym budzi się wieku, tem przejawia się potężniej, a na dnie duszy każdego rozpustnika drzemie ukryty sentyment. Horwitz w ciągu swego sześćdziesięcioletniego żywota nie jedną zdobył piękność i nie jedną dzięki posiadanym pieniądzom miał „przygodę“. Lecz od pewnego czasu zaczęły go nudzić łatwe zdobycze, lub światowe hetery, wpadające do salonów „Helwiry“, jak po ogień, by z przygodnych adoratorów w sposób dość bezceremonjalny ściągnąć jaknajwiększe „honorarjum“. Posiadł więc Horwitz, przy uprzejmej pomocy Helmanowej i różne „naczelnikowe“ i mniej lub więcej autentyczne „hrabiny“ — te jednak nie bawiły się w żadne sentymenty, a skarotowawszy[1] podtatusiałego adoratora, uciekały nader szybko.

Lecz z Lenką było co innego. Horwitz, który dotychczas, lubiąc się bawić, lękał się, „krępującego stosunku“, gdyż wytężał wszystkie siły celem zdobycia znacznego stanowiska i majątku — począł tęsknić za czemś trwalszem, nie tylko za ciałem, lecz i za towarzystwem kobiecem. Nie

chciał się żenić, ponad wszystko ceniąc swą wolność, lecz pragnął, żeby jakaś niewiasta zapełniła mu życie, natchnęła weselem bogate, lecz smutne jego apartamenty, dała z siebie coś więcej, niźli przelotne, a grubo płatne uściski.

Takim jest los wszystkich starszych lowelasów — dumni z swej niezależności, uciekają od legalnych związków, by popaść pod wpływ swej kucharki, lub jakiej kokoty i wreszcie uznać je za prawowite małżonki.

Horwitz, zakochawszy się w Lence, nie uczynił zbyt świetnego wyboru, bo Lenka w gruncie nie potrafiła przywiązać się do nikogo. Lecz, aby pojąć skąd powstało to nagłe uczucie, musimy się cofnąć nieco wstecz. Zwierzchnik pana Ignacego, znał oddawna z widzenia przystojną małżonkę swego podwładnego, a nawet mu jej zazdrościł. Toć byli prawie w jednym wieku, a ten stary mamut, Okoński, wytrzasnął taką ładną kobietkę, która patrzy w niego, niczem w obraz, znosi skąpstwo sknery i jest mu całkowicie posłuszna? Tak myślał parokrotnie Horwitz, napotkawszy przypadkiem na ulicy Okońskich, a przez nich niewidziany, gdy Lenka pokornie szła przy boku męża, nie patrząc na nikogo, apatycznie opuściwszy główkę, kompletnie zahukana przez pana Ignacego — gdy on podobnego posłuszeństwa dotychczas nie zdobył, za największe pieniądze.

Ot, taką miećby kochankę! — korcąca myśl przebiegała wówczas przez głowę dyrektora. — Skromną, niezepsutą, oddaną! A przytem...

Tu w duchu rozbierał Lenkę, doświadczeniem starego kobieciarza, oceniał każdy szczegół jej urody, mlaskał

prawie językiem na wspomnienie zgrabnej figurki, jak utoczonej nóżki, ust czerwonych i trochę wilgotnych, zdala, rzekłbyś, obiecujących nieskończone rozkosze.

Horwitz pożądał Lenki, kiedy ta ledwo słyszała o istnieniu dyrektora i to li tylko jako o zwierzchniku męża, z urywkowych opowiadań o stosunkach biurowych pana Ignacego. Pożądał tembardziej, że była ona żoną podwładnego, o którym wiedział, że w życiu codziennem wstręt może tylko budzić w kobiecie, jest drobiazgowy, marudny i nieznośny. Taki bałwan wyłowił podobną perełkę... Czemuż ta „okazja“ nie przypadła Horwitzowi w udziale, on umiałby ocenić ślicznotkę, nadałby jej należytą oprawę, całowałby od rana do wieczora te kraśne usteczka, te cacane nóżki...

To też napotkawszy Lenkę przypadkowo, zdumiał się, a później postanowił wykorzystać niezwykłą sposobność. Tak, ona! W jakiż sposób w salonach „Helwiry“ się znalazła? Nic innego, tylko ten stary „drań“, Okoński, tak jej dokuczył, tak skąpił, że ta, u dam w rodzaju Helmanowej, szuka pomocy. A może Helmanowa sama zastawia na nią sieci, rada z nieprzeciętnej zdobyczy?

To też, do złożenia „właścicielce salonu mód“ sowitego haraczu skłoniły go nie tyle jej opowieści o — „ef, ef... palce lizać... żonie dygnitarza, bawiącej przejazdem w Warszawie“, — co świadomość, z kim w rzeczy samej ma do czynienia. Nie uwierzył wykrętom Lenki, zbyt dobrze wyrywszy sobie jej obraz w swej pamięci, a ze sposobu zachowania się poznał, że Okońska jest w „firmie“ nowicjuszką.

Nalegać, odrazu wyznać, iż przenikł incognito Lenki? Odradzało mu to doświadczenie — spłoszyłby ją, przeraził, sądziłaby, że wszystko powtórzy mężowi, że zechce ją zgubić... Ta droga nie tylko nie prowadziła do celu, lecz raz na zawsze mogła przerwać znajomość... Lecz przybyć w parę dni później, dać tem dowód swej miłości, a jednocześnie oszołomić swem stanowiskiem, zaznaczyć, że nie grozi niebezpieczeństwo ze strony męża, bo Okoński jest całkowicie od niego zależny — oto był plan lepszy i który powiódł się całkowicie.

Któryś arabski filozof powiedział, że najgłupsza kobieta jest sprytniejsza od najmądrzejszego mężczyzny, a ładna nóżka, strojna w zgrabny pantofelek, więcej w życiu zdziała, niźli nieprzebrane zasoby inteligencji. To też nawet w kurzym mózgu Lenki, rychło zrodziło się poczucie swej potęgi i władzy nad nowym kochankiem. Zrodziło się — a podświadoma, kokocia intuicja uczyła, w jaki sposób przywiązać go na dłużej. Stała się więc Lenka w oczach Horwitza nieszczęsną ofiarą domowych stosunków, której on winien wynagrodzić choć w cząsteczce przykrości od nieznośnego męża zaznane. Brakło jej dotychczas uczucia — on da to uczucie. Jej uroda nie posiadła jeszcze należytej oprawy — on ją otoczy dostatkiem. A Lenka, która równie obojętnie w salonach „Helwiry“ przyjęłaby pieszczoty każdego, choćby był ułomny i odrażający, umiała teraz Horwitzowi wytłumaczyć, że li tylko tak się „stało“, bo spodobał się jej od pierwszego wejrzenia.

Sielanka trwała w pełni — a w głowie Lenki rodziły się przeróżne projekty. A nuż Horwitz zechce ją rozwieźć z

mężem i zostanie dyrektorową? Dyrektorową! Magiczne to słowo napełniło ją drżeniem i z góry nieco już spoglądała na pana Ignacego. Osioł... o ileż stał się uprzejmiejszy i zmienił swe postępowanie, odkąd zauważył, że dyrektor, odwiedzający ich pod przeróżnemi pozorami dla niej przybywa i jej nadskakuje.

Nie śmie już teraz się wyrwać z ostrzejszem słówkiem, lub wymówką... Pani Lenka nie zamierzała nawet chwilowo wyprowadzać się z domu, nie wiedząc, jakie Horwitz żywi w rzeczy samej plany...

Lecz zato, po swojemu, po kobiecemu, mściła się nad mężem, a Okoński nie rozumiał, lub udawał że nie rozumie niektórych złośliwości.

Zbyt sprytny na to, aby nie pojąć, co skłoniło zazwyczaj dumnego zwierzchnika do niespodziewanej zażyłości z urzędnikiem, milczał przezornie, nie wiedząc, jak daleko zabrnął stosunek Lenki z Horwitzem i udając, że jeno nagłej sympatji szefa do swej osoby zawdzięcza te częste odwiedziny. Zresztą do milczenia skłaniały go i inne względy. Dyrektor przyznał mu ni z tego ni z owego kilkaset złotych gratyfikacji za jakiś bilans, którego pan Ignacy palcem nawet nie tknął i niedwuznacznie obiecał w bliskiej przyszłości awans. Prócz tego Okoński przymykał oczy, bo imponowała mu w gruncie „przyjaźń“ z niedostępnym dotychczas dygnitarzem...

Toć Horwitz, ten Horwitz, który w biurze nie zawsze podawał mu rękę, a do niedawna napewno nie siedziałby z nim w miejscu publicznem, teraz zapraszał go nawet do teatru...

Co prawda, ta bytność w teatrze, a raczej późniejsza po nim kolacja, napsuły panu Ignacemu krwi niemało, bo o żonę porządnie był zazdrosny, a Lenka w swej zemście nie powstrzymywała się już wcale.

Bo oto, siedząc przy restauracyjnym stoliku a bezczelnie patrząc mężowi w oczy, nie tylko czule gołem ramieniem przyciskała się do ramienia Horwitza, lecz w pewnej chwili jej lakierek, co nie uszło uwagi Okońskiego — spoczął na nodze dyrektora i tak pozostał aż do końca wieczerzy.

Pan Ignacy, mimo prowokacyjnego zachowania się Lenki, zdobył się na spokój. Udał, że nie widzi. Lecz zagrała w nim starcza zazdrość, a w duszy toczyła się ciężka walka pomiędzy namiętnością a pożytkiem, wypływającym z roli powolnego męża.

To, co nastąpiło w domu, było jeszcze po stokroć gorsze.

Bo kiedy pan Ignacy, starając się skorzystać ze swych praw, pragnął złożyć pocałunek na obnażonej nóżce Lenki, która figlarnie wystawała z pod kołdry, tem czyniąc wstęp do dalszych pieszczot, usłyszał nagle niespodziewane:

— Odejdź...

— Odpychasz mnie? — mruknął czule, nadając swej twarzy wyraz starego goryla, zalecającego się do gorylicy.

— Tak...

— Czemu?

— Bo mi się tak podoba!

Okoński przybrał wyraz obrażonej godności.

— Wszak jestem twoim mężem!

— Et, jakim tam mężem?... Mieszkamy pod jednym dachem... Nic więcej... O reszcie zapomnij...

Lenka wymawiając te słowa, sama śmiała się w duchu. Czy zdobyłaby się na odwagę, aby w podobny sposób jeszcze parę tygodni temu się odezwać? Napewno nie... Ileż zmieniło się od tego czasu i jak zabawne się wydaje, iż mogła lękać się tej suchej mumji, która stale się kurczy, jeśli krzyknąć nań głośniej.

— O reszcie zapomnij! — powtórzyła z naciskiem — Co było, nigdy nie wróci... Zresztą czuję się niedobrze... Muszę się wystrzegać silniejszych wzruszeń...

— Hm! — mruknął zgryźliwie — Stale przy mnie jesteś chora, a z dyrektorem czujesz się znakomicie! — Czy to on cię uzdrawia?

— A choćby tak było!

Okoński nie spodziewał się podobnej bezczelności. Zbyt jednak zabrnął daleko, aby się cofnąć.

— Zakochałaś się w nim? — wykrztusił ze złością.

Lenka rozpoczęła zwykłą kobiecą grę, polegającą na mówieniu prawdy pod pozorem żartu, znienawidzonemu mężczyźnie. Gierka taka jest ulubioną rozrywką lekkomyślnych niewiast, pozwala bowiem porządnie dokuczyć ofierze i krwi mu napsuć nie mało, a w ostatniej chwili wycofać się zręcznie — dręczony zaś nie wie, czy ma temu co słyszy wierzyć, lub nie wierzyć, przeto złości się podwójnie.

— Zakochałam się! — odrzekła przekornie.

— Miałaś też w kim? — coraz większa pasja ogarniała pana Ignacego. — Stary trup, ucharakteryzowany na młodzika... Łysy dziad...

— Przepraszam cię bardzo! Żaden dziad, tylko bardzo

przystojny i elegancki mężczyzna! Że starszy? — Lubię właśnie starszych panów, a brzydzę się smarkaczami... I ty mi się podobałeś swego czasu, pókiś się nie stał nudny i nieznośny...

— A teraz ci się nie podobam? — ofiara sama chwytała wędkę.

— Pewnie, że nie... Zaniedbałeś się w ubraniu... Wąsy sterczą, niczem wiechcie... Śmierdzisz o pięć kroków tytoniowym dymem...

Pan Ignacy mimowolnie zerknął w lustro umieszczone w tualecie. Tego tylko potrzeba było Lence.

— Horwitz!... Ten jest zawsze czyściutki i pachnący...

— Zachwycaj się nim! Zachwycaj — zawarczał — On też oczami do ciebie przewraca... Zgłupiał na starość... Co mu też mogło się spodobać w takiej, jak ty gęsi?...

Lenka puściła mimo uszów obrazę. Natomiast odrzuciwszy nagłym ruchem kołdrę, odsłoniła swe posągowe niemal kształty, a koszulka jakby umyślnie, zsunąwszy się z ramion, ukazała jędrne piersi i blado różowe jedwabne ciało.

— Może i gęś! — zawołała wesoło. — Ale ładna gąska... No sam powiedz, czy nie śliczna ze mnie kobietka?

Pan Ignacy się zdumiał. Do podobnych wybryków żony nie przywykł. Nie miał on jednak czasu się zastanawiać, skąd zrodziło się nagle podobne wyuzdanie i podobna zmiana w skromnej zazwyczaj Lence. Przemówiło doń całą potęgą młode ciało, a kokoci odruch bardziej jeszcze podniecił zmysły. Ukazała mu się jakaś nowa Lenka, nie ślamazarna, apatyczna, lecz pikantna i do najwyższego

stopnia godna pożądania. Zazdrosny mąż zszedł na drugi plan, a z Okońskiego wypełzł w całej pełni samiec.

— Lenuchna!... Lenuchna... — jął bełkotać, zbliżając się do małżonki i lekko dotykając jej ramienia — Rozumiem, to wszystko były żarty.. Moja Lenka nie jest gąską... jest ślicznotką... I nikogo nie kocha, tylko swego mężulka... swego Ignasia... A Ignaś będzie bardzo dobry dla Lenki... Kupi jej nawet...

Tu głos Okońskiego się załamał, w chwilach bowiem największego podniecenia był skąpy w swych obietnicach. Natomiast, zasuszona dłoń o kościstych palcach, posuwając się po ramieniu jęła błądzić dalej..

Szybko jednak nastąpił kres tej wędrówki... Lenka energicznie odrzuciła natarczywą dłoń, poczem nasunąwszy prędko kołdrę pod brodę i zakrywszy się cała, ostro wyrzekła:

— Dość!...

Okoński skrzywił się niemiłosiernie.

— Jakto, Lenuchno?

— Powiedziałam już raz — udała teraz powagę — żebyś mnie nie nudził... Czyż ci to mam powtarzać bez końca...

— Lenuchno...

— Przestań, bo się rozgniewam... I nie stercz blisko nad łóżkiem, bo tego nie znoszę...

Pan Ignacy pojął, że żona przemawia serjo i że ani perswazją, ani obietnicami nic nie zdziała i musi poniechać swoich zamiarów. Z prawdziwą niekonsekwencją męską, przeszedł raptownie od czułości do złości, tem silniejszej, iż spowodowanej brutalnem przerwaniem, tak dobrze

rozpoczętych zalotów.

— Tak... tak... — zasyczał jadowicie — W głowie się pani przewraca... Dyrektorów się zachciewa... Mężowi pokazuje się humory i kaprysy... Przyznaj się, może cię już z Horwitzem coś bliższego łączy?...

— Może...

— Nie zaprzeczasz! Dobrze widziałem, jak podczas kolacji przyciskałaś się do niego! Trącałaś go wciąż nogą pod stołem! Nie było tak?

— Skoroś widział, to pocóż pytasz?

— Poto — pan Ignacy aż zapluł się z gniewu — że nie będę malowanym mężem!... Nabrałaś licho wie jakich narowów, a ja się z niemi nie zgodzę!... Zrobię koniec...

— Koniec? — powtórzyła Lenko słodko.

— Tak, koniec! Wyraźnie dam temu panu do zrozumienia, żeby przestał u nas bywać... A jeśli to nie pomoże... Myślisz, że się przestraszę, bo jest dyrektorem?... Nie! — głos Okońskiego zabrzmiał nutami obrażonej godności — Posiadam ambicję...

— Co zrobisz?

— Wyrzucę za drzwi, jak łobuza... Najwyraźniej za drzwi wyrzucę...

Głos Lenki zabrzmiał jeszcze słodziej:

— Bardzo źle byś postąpił...

Pan Ignacy choć był wielce zacietrzewiony, sam uwierzywszy w swą rolę Katona, mimowolnie podchwycił frazes małżonki.

— Czemu miałbym źle postąpić! Postąpię, jak nakazuje honor...

Teraz następował dopiero kulminacyjny punkt zemsty Lenki. Poprzednia słowna utarczka stanowiła dopiero preludjum. Doprowadziwszy go do pasji, chlusnęła nań niespodziewanie strumieniem zimnej wody.

— Widzisz — powoli jęła sączyć wyrazy — mojem zdaniem uczyniłbyś wielkie głupstwo... Ale ty z mojem zdaniem nie wiele się liczysz... Mówił mi w zaufaniu dyrektor, że w najbliższej przyszłości zamierza cię awansować na naczelnika wydziału... Tak, na naczelnika wydziału!

— Co? — pan Ignacy rozwarł szeroko usta. Poczuł się nagle, niczem zły pies, który już zębami chwyta za łydkę wroga, a wtem silnie ściągnięty smyczą, tej łydki mimo najlepszych chęci złapać nie może.

Naczelnik wydziału! Toć to niedosięgłe marzenie, a pan Ignacy, nie posiadając wyższego wykształcenia, nigdy nie śmiał przypuszczać, że zdobędzie tę godność. To też, pozostał tak długą chwilę z rozwartemi ustami, podczas gdy żona mówiła:

— Teraz pokłóć się z nim, jeśli chcesz!... Oczywiście honor jest droższy od stanowiska!...

— Mmm... — dziwny dźwięk wydarł się z gardła Okońskiego i szybko odwrócił się od żony.

Lenka aż ugryzła kołdrę, aby nie roześmiać się głośno. Genjalny był koncept z tym naczelnikiem wydziału, na który wpadła, bo przecież Horwitzowi ani w głowie powstało czynić podobną obietnicę. Genjalny... Ignasio będzie teraz skakał na dwóch łapkach, niczem pudel na widok ciastka. Ona, Lenka może nadal wyprawiać co sama

zechce, a o całej tej scenie Horwitzowi powtórzy, ubarwiwszy ją po swojemu. Udał się kawał...

Tymczasem Okoński szukał rozpaczliwie w myślach wyjścia z drażliwej sytuacji. Wreszcie, wydało mu się, iż ją znalazł.

— Moja droga! — rzekł nie patrząc na Lenkę i z powagą poprawiając krawat — Wiedziałem, że prędzej, czy później muszą ocenić moją pracę... Co zaś się tyczy moich poprzednich odezwań o dyrektorze Horwitzu, to wywołałaś je swemi niewłaściwemi żartami... Wogóle zachowujesz się niemożliwie... przypisuję to twemu życiowemu niewyrobieniu... Horwitz jest przyzwoitym człowiekiem i o mało, niepotrzebnie nie wywołałem awantury... Przekonany jestem, iż szanuje on mnie wielce i nie ośmieliłby się zachować względem ciebie niestosownie, lub posunąć za daleko...

— O tak... — Lenka dusiła się pod kołdrą...

— Jeśli ci nadskakuje, to przez zwykłą towarzyską uprzejmość...

— Napewno!...

— Ty zaś zechciej w przyszłości być poważniejsza... Dawniej dwuch słów nie można było z ciebie wydusić, teraz rozdokazywałaś się, niczem pensjonarka... Rozumiem twą radość... Rychło zajmiemy poważne stanowisko... We wszystkiem należy jednak stosować umiar...

— Masz rację!...

Choć wykrzykniki Lenki brzmiały nadal więcej, niż ironicznie, Okoński świadomie nie zwracał na nie uwagi. Gdy władza wymyka się z rąk, należy zachować bodaj

pozory władzy. A za tę abdykację otrzymywał taką rekompensatę, że warto było przymknąć oczy na niejedno. Pozatem sądził, iż wybrnął z godnością i wszystkie pozory zostały ocalone. To też na zakończenie wymówił tonem dygnitarza, zamykającego trudne, a burzliwe posiedzenie.

— Nieporozumienia zostały wyjaśnione!... Mniemam, że nie powrócimy więcej do tego tematu...

— Nn... i... e... — znów ni to szept, ni to śmiech, wydobył się z pod kołdry.

— Oczywiście...

Pan Ignacy przeszedł się parę razy po pokoju, sztywniejszy, niźli zazwyczaj. Już widział samego siebie zasiadającym w pięknym gabinecie, a karki podwładnych czołobitnie zgięte w ukłonach. Lecz należało położyć jeszcze pieczęć na dyplomatycznych posunięciach.

— Czas na spoczynek! — oświadczył — Kogo oczekują poważne trudy, nie powinien nocy marnować na czczych gawędach... Gdyby nie twoja paplanina, dawno znajdowałbym się w łóżku...

— Moja paplanina, czy też twoje gorące afekty? — złośliwie odparła, czyniąc aluzję do niedawnych zalotów, a gdy mąż zbył milczeniem tę nową zaczepkę dodała:

— Od godziny cię namawiam, żebyś poszedł spać, bo i mnie powieki się kleją.... A jak zaśniesz, to nie chrap... Tak chrapiesz, że wciąż się budzę... Wogóle przenoszę się jutro do saloniku, a samego cię zostawię w sypialni... Będzie wygodniej...

A gdy odszedł długo jeszcze nie mogła zasnąć, uradowana ze swego triumfu.

Pierwszy krok na drodze do całkowitej wolności został uczyniony, a dalsza karjera zależy tylko od sprytu. Bo Lenka, upojona powodzeniem ostatnich dni, poczynała wierzyć w swój sprycik, jak wierzy weń każda, najbardziej nawet ograniczona kobieta, póki życie potężnem uderzeniem kłamu tym wyrachowaniom nie zada.

Śmiała się jeszcze nazajutrz, leżąc wygodnie w łóżku, gdy mąż poszedł do biura. Zazwyczaj do jej obowiązków należało przyrządzić śniadanie, lecz obecnie tę czynność zepchnęła na „garnkotłuka“, a pan Ignacy nie śmiał zaprotestować.

Jedna tylko chmurka zaciemniała ten różowy horyzont, o ile to chmurką nazwać można, a była nią Helmanowa. Bo po dłuższem milczeniu właścicielki „Helwiry“ odezwała się wczoraj do Lenki telefonicznie, prosząc, aby ta przybyła do niej dziś, koło południa. Głos „szefowej“ brzmiał uprzejmie, lecz stanowczo, a Lence wydawało się nawet, że kryje pogróżkę. O cóż właściwie mogło chodzić? O weksle, czy też o nowego klijenta? Co prawda przy zwykłej swej lekkomyślności, nie napierała zbliska, Lenka zdążyła już o zobowiązaniach swych zapomnieć. Nie napawały jej zbytnim lękiem, bo miała przekonanie, że Horwitz, jeśli szczerze mu wyzna, jaki powód ją skłonił do odwiedzin „salonu mód“, da pieniądze i załatwi sprawę. Lecz sama osoba właścicielki „Helwiry“ budziła w Lence pewien niepokój. Czy zechce wogóle wydać weksle, czy nie uczyni z nich jakiego użytku? Lecz czem właściwie szantażować ją może? Powiadomi męża o wszystkiem? Oczywiście, nie będzie to należało do przyjemności, ale na rozejście się z

mężem Lenka jest przygotowana. Hm!... A jeśli pan Ignacy, chcąc odzyskać nad nią władzę przyczepi się do podrobionego podpisu? To groźniejsze, w obecnej sytuacji... Od czegóż jednak Horwitz! Wybawi ją chyba z tarapatów? Dawno już opowiedziałaby mu o tych przeklętych wekslach, gdyby jej nie było trochę wstyd, że popełniła fałszerstwo...

Pocieszając się podobnemi myślami i ubrawszy się nadzwyczaj starannie, Lenka o oznaczonej porze, udała się na Koszykową.

KONIEC.[2]

1. ↑ *skarotować* — wyzyskać kogoś, wyłudzając odeń sporą sumę. Źródło: *Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego
2. ↑ **Dalszy ciąg i zakończenie „Półświatka“ znajdzie czytelnik w powieści „Ofiary półświatka“.**

*Tekst jest **[własnością publiczną](#) (public domain)**. Szczegóły licencji na stronie autora: [Stanisław Antoni Wotowski](#).*

O tej publikacji cyfrowej

Ten e-book pochodzi z wolnej biblioteki internetowej Wikiźródła[1]. Biblioteka ta, tworzona przez wolontariuszy, ma na celu stworzenie ogólnodostępnego zbioru różnorodnych publikacji: powieści, poezji, artykułów naukowych, itp.

W publikacji została zachowana oryginalna ortografia, oczywiste błędy w druku zostały poprawione przez redaktorów Wikiźródeł. Przypisy dodane przez redaktorów oznaczono logiem Wikiźródeł.

Wersja źródłowa tego e-booka znajduje się na stronie: Półświatek. Powieść sensacyjna na tle zakulisowych stosunków Warszawy

Książki z Wikiźródeł są dostępne bezpłatnie, począwszy od utworów niepodlegających pod prawo autorskie, poprzez takie, do których prawa już wygasły, i kończąc na tych, opublikowanych na wolnej licencji. E-booki z Wikiźródeł mogą być wykorzystywane do dowolnych celów (także komercyjnie), na zasadach licencji Creative Commons Uznanie autorstwa-Na tych samych warunkach wersja 4.0[2].

Wikiźródła wciąż poszukują nowych wolontariuszy. Przyłącz się do nas![3]

Możliwe, że podczas tworzenia tej książki popełnione zostały pewne błędy. Można je zgłaszać na tej stronie[4].

W tworzeniu niniejszej książki uczestniczyli następujący wolontariusze:

- Maire
- Alenutka
- Seboloidus
- Wieralee
- Rocket000
- ChrisiPK
- Boris23
- KABALINI
- Bromskloss
- Tene~commonswiki
- AzaToth
- Bender235
- PatríciaR
- Rei-artur
- Zanimum

---

1. ↑ https://pl.wikisource.org
2. ↑ http://www.creativecommons.org/licenses/by-sa/4.0/

3. ↑ https://pl.wikisource.org/wiki/Wikiźródła:Pierwsze_kroki
4. ↑ http://pl.wikisource.org/wiki/Wikisource:Skryptorium